
MUZEUM
FRYDERYKA
CHOPINA



FR. SZOPEN

PRZEZ

F. LISZTA,

PRZEKŁAD

FEL. FALEŃSKIEGO.

Z portretem Szopena.

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA,

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 15.

—

1873.

Дозволено Цензурою

Варшава, 28 Апрѣля 1873 года.



2192



w Drukarni S. Orgelbranda Synów. Ulica Bednarska Nr. 20.

Jakbądźbyśmy, miarą objawów powszechnego żalu, wartość straty jakąśmy przez śmierć Szopena ponieśli, a ztąd i uznanie zasług jego, oceniać chcieli, — niemniej rzeczą jest pewną: że mistrz ten nie zajął jeszcze stanowiska, jakie zapewne przyszłość dla niego w dziejach sztuki chowa.

Jeżeli nieraz dowiedziono: że nie koniecznie się bywa prorokiem pomiędzy swemi,—czyż się nie zdarza także: że ci, którzy z wieszczego przeczucia dziełami swemi własne w pochodzie wyprzedzają czasy, nie zawsze przez współżyjących za kapłanów prawdy uznani bywają? I nawet, ściśle biorąc, dziwić się temu trudno. Młodsze pokolenia zwolenników sztuki, do końca świata wyrzekać będą na tych, którzy ociągając się w postępie, radzi są że tak powiemy żyjących pobijać zmarłemi,—równie się to w muzyce napotyka jak i gdzieindziej—czas dopiéro najczęściej słuszną tu wymierza sprawiedliwość.

Niepoliczone w swoich objawach formy piękna, porównać się godzi do tych zaklęć czarodziejskich, których zadaniem jest budzić do życia uczucia i namiętności. Otóż udziałem bywa geniuszu: wynaleść nieraz formy wcale przed nim nie znane, które też i do uczuć przemawiają,

jakie dopiéro w zakreśloném przez nich kole czarnoksięskiém powołać do istnienia im jest jednym dano. To mając na względzie, łatwo pojąć: dla czego w sztuce, w której wrażliwość własną, nawet bez pośrednictwa myśli i zastanowienia, wzruszeniu słuchacza przekazać można, samo już wprowadzenie form niezwykłych i sposobów nowych, staje się nierzadko przeszkodą w natychmiastowém zrozumieniu dzieła. Zdziwienie, nawet rodzaj znużenia, jakiego się doświadcza skutkiem niezwykłości wrażeń przez nie budzonych, czyliż go zrazu nie przedstawia tłumowi jako utwór wypowiedziany w języku nieznanym, i przez to samo z góry posądzany o niezrozumiałość? Już sam przymus stopniowego oswajania z niém ucha, łatwo zraża takich, którzy nie bardzo radzi uczyć się czegoś cierpliwie. Staje się tedy: że przedewszystkiém najruchliwsze i najwięcej młodości w sobie mające organizacye, z usposobienia swego najmniej sprzyjające nawyknieniu, (acz i to ostatnie, ztądinąd znowu, jako zmysł zachowawczy, również warte jest uznania)—że tedy tacy najpierwsi, powtarzamy—zrazu ciekawością wiedzeni, niebawem całą namiętność swoję na usługi nowości owej oddają, zaczém też, przez nich to niemal wyłącznie, przesiąka ona w najniechętniejsze tłumu warstwy, kędy stopniowo myśl się jej krzewi, a dalej pojęcie doniosłości owego piękna, z całym zasobem pożytku, jaki ze skarbów jego czerpać można. Z tej to przyczyny, twórcy muzyczni, torujący sobie drogi całkiém nowe, nierównie więcej niż inni czasu dla siebie potrzebują. Nie im to nawet z pewnością liczyć na bezpośrednią chwałę pozgonną, i myślę: że chyba nie było takiego, któryby jak niegdyś wielki Rembrandt, wieść o swojej śmierci po świecie puściwszy, już tym jednym sposobem wartość utworów swoich, a raczej szacunek ich, dziwnie w cenę podbił.

Więc jakbądź, w znacznej części, obecnie już, pomysły Szopena nie małej w ogóle używają wziętości; wątpić się przecięż nie godzi: że dopiéro potomność dalsza oceni je tak, jak na to w całości swej bezwarunkowo zasługują. Tak jest—ci co w następstwie studya nad muzyką w szerszych poglądach streszczać będą, nie odmówią im jednego z najzaszczytniejszych miejsc w dziejach sztuki. W nich bowiem, rzadkim geniuszu udziałem, tak przedziwne, mimo stosunkowo dość ciasnych szranków, mieszczą się zdobycze: że te koniecznie przeżyją nie jedno dzieło, posługujące się znacznie większą środków ilością, a ztąd i pozornie przystępniejsze, a raczej więcej dla wykonawców mające powabu.

Ograniczając się skromnym zakresem fortepianu, Szopen, zdaniem naszém, uwydatnił jeden z najszacowniejszych przymiotów myśliciela: to jest, ze wszechmiar słuszne ocenienie formy, jaką dla swojej działalności za najwłaściwszą uznał;—niemniej właśnie to, nie co innego, należnemu zasług jego uznaniu, do dziś dnia na przeszkodzie stoi. Ktoś inny, z podobnym zasobem pomysłów melodyjnych i harmonicznej wiedzy, byłby się może nie oparł pokusie smyczkowego śpiewu, miękkim fletu dźwiękom, lub brzmiącemu blaszanych narzędzi działaniu, w czém wszystkiém nawykliśmy dotąd nieodzowne wrażeń muzycznych upatrywać środki. Jakże silnego przekonania, jak głębokiej refleksyi potrzeba tu było: ażeby się dobrowolnie ograniczyć na tej tak płonnej z pozoru niwie, i z niej tak cudowne wyprowadzić kwiaty, o jakich nikomu wprzódy ani się śniło! Cóż to za przejęcie się natchnione w tej wyłączności wyboru, która przeróżne narzędzi muzycznych rodzaje działania, właściwej im pozbawiając przemocy, umiała przenieść w sferę o wiele skromniejszą, ale za to jakże idealniejszą! Cóż to za sil-

na wiara, w tém przewidzeniu przyszłej fortepianu potęgi! Toćże tu od razu zerwać przyszło z całą utartą już wiekami rutyną, dla której niemal niedorzecznością byłoby, wielkie myśli, inaczej jak licznemi wyrażać środkami. Zaprawdę — uderzmy czołem przed tém osobliwszém umiłowaniem piękna dla piękna tylko, które ustrzegło geniusz Szopena od tego powszechnie panującego popędu do rozprowadzania na setki instrumentów lada źdźbła melodyi, skłaniając go owszem do skupienia się w najszczuplejszej jak można przestrzeni, co właśnie nie inaczej się stało, jak tylko z wielkiém środków sztuki wzbogaceniem.

Daleki od szukania hałaśliwych w orkiestrze effektów, Szopen jak wiemy, wyłącznie fortepianowi myśl swoję poślubił; z tém wszystkiém, siły się nie wyrzekł, jakbądź o grube zarysy uwydatniające całość, bynajmniej mu nie chodziło. Zdaje mi się: że jak dotąd, nie dość się jeszcze zastanawiano nad całą wartością rysunku tego niezrównanego mistrza. Za dni naszych, nadtośmy nawykli tych jedynie za wielkich kompozytorów uważać, którzy co najmniej kilka oper stworzyli, oratoryów i symfonii; zkądinąd znowu zdaje się nam: że kompozytor uzdolniony jest do wszystkiego, a czasem nawet więcej niż do wszystkiego! Pojęcie to, mimo swego rozpowszechnienia, bardzo wątłą ma zasadę. Nie myślę ja uwłaczać sławie, która zwycięzką stopą wkroczyła w zakres epopei lub dramatu; radbym tylko: żeby w dziedzinie muzyki, co do wartości, bez względu na rozmiary, te same obowiązywały prawa, którym podlegają inne sztuki piękne. Tak w malarstwie naprzykład, obraz nie więcej jak dwadzieścia cali czworobocznych duży, jeśli to jest *Widzenie Ezechiela* Rafaelowskie, lub *Cmentarz Ruysdaela*, nie wart że sto razy więcej, jak ogromne nie jedno płótno, niechby nawet Rubensa lub Tintoreta? W literaturze,

Béranger, mniejże przeto jest poetą, że myśl swą w lekkiej wyśpiewywał formie? Petrarka, czyliż nieśmiertelności swojej nie zawdzięcza sonetom; o jego zaś klasycznej Afryce czyż dziś komu co wiadomo? Z tych względów, nie ulega wątpliwości, że i w muzyce, prędzej czy później, zniknąć muszą przesądy, które dotąd nie tyle uwzględniają sposoby i stopień potęgi wypowiedzenia myśli, ile środki do tego użyte, tak, że pierwszy lepszy kompozytor lichych oper, których nawet wyszczególniać nie warto, lepsze dziś miejsce trzyma przed Franciszkiem Szubertem, bowiem ten ostatni tworzył tylko sonaty.

Otóż tedy, w pracach Szopena systematycznie się rozpatrując, znajdujemy w nich piękności dziwnie podniosłego stylu, ekspressyi całkiem nowej, połączeń harmonicznych tyleż samodzielnych ile głęboko pomyślanych. Śmiałość zawsze jest u niego usprawiedliwiona — bogactwo, nadmiar nawet, nie wyłączają jasności—odrębność nie przechodzi nigdy w dziwactwo—w snycerszczyznach nie bywa nadmiaru—zbytek zaś ozdób nie przeładowywa nigdy wykwintu zasadniczych zarysów. Pierwszorzędne jego utwory obfitują w kombinacye, stanowiące rzec można epokę w dziejach zażywania muzycznego stylu. Śmiałe, świetne, porywające, tak wielkim wdziękiem głębokości pomysłów swych maskują, biegłość zaś misterstwa urokami tylu, że chcąc je na zimno sądzić, z trudnością wyzwalasz się z pod ich wpływu—a przecież nie w praktyce samej cała ich zaleta—owszem, czas już w dziedzinę teoryi przenieść i zdrowej poddać krytyce zasługi, jakie niezaprzeczenie Szopen w sprawie swej sztuki położył.

Jemu to zawdzięczamy owo rozszerzenie użycia akkordów, w najrozmaitszém ich zastosowaniu i rodzajach uderzeń—jemu również liczne węzłowania chromatyczne i enharmoniczne, których u niego tyle uderzających przy-

kładów—jemu nareszcie te drobne zastępy nót dodatkowych, unoszące się niby pryzmatyczna kropli rosy kurzawa, po nad głównym śpiewem. Dał on temu rodzajowi ozdoby, jakiej pierwowzoru szukaćby chyba w fioryturach starej poważnej szkoły włoskiej, powaby niezwykłości i urozmaicenia, którym już nie podoła głos ludzki, niewolniczo wprzódy przewagę swoję fortepianowi narzucający w upiększeniach, dziś już zużytych i monotonno-stereotypowych. On także jest wynalazcą owych cudownych progressyi harmonicznych, które charakterem powagi nacechowały nawet karty, pozornie, lekkością swego przedmiotu, niemogące sobie rościć do tego prawa. Ale wartoż tu o przedmiocie mówić? Czyż nie myśl która go ożywia, czyż nie wzruszenie które się od niego udziela, podnosi go, wyszlachetnia i wypotężnia? Ileż słodkiej zadumy, ileż prawdy głębokiej, ileż przenikliwości, ale nadewszystko ileż *sztuki*, w tych arcydziełach Lafontain'a, których przedmioty są tak pospolite, tytuły zaś tak mało obiecujące! Coś podobnego powiedzieć można o Etiudach i Preludyach Szopena. Przy całej swojej pozornej skromności, są to jednak doskonałe typy, w rodzaju, który on sam stworzył; na nich bowiem, równie jak i na każdej innej swojej robocie, wycisnął właściwe geniuszowi swemu piętno. Pisane niemal w początkach jego zawodu, noszą na sobie cechę werwy młodzieńczej, niknącej stopniowo w następnych jego, coraz staranniej coraz uczeniej opracowanych dziełach, zanim do reszty nie stopniała w ostatnich, zdradzających tak już wysoce rozgorączkowane usposobienie, że posądzać by można ich twórcę o poszukiwanie umyślne środków wyczerpania ducha.

Gdyby nam przyszło z tego powodu po szkolarsku rozprawiać o rozwoju fortepianowej muzyki, nie pozostawałoby, jak wziąść pod skalpel wspaniałe kompozycyi

Szopenowskich karty, kędy w wierszu niemal każdym znaleźć można bogate do spostrzeżeń materyały. Los ten spotkaćby musiał przedewszystkiém *nokturna*, *ballady*, *improwizacye*, (impromptus), *scherza*, z których w każdém pełno harmonicznego wykwintu, tyleż niesłychanego, ile niesłyszanego nigdy przedtém. Z tego względu, w następstwie, porozkrawaćby przyszło *polonezy*, *mazury*, *walce i bolera*. Ale ani pora, ani miejsce po temu—zresztą, przydałoby się to zaledwie adeptom kontrapunktu.

Właściwie, dzieła Szopenowskie rozpowszechniły po świecie głębokie przenikające je na wskroś uczucie, uczucie przeważnie romantyczne, czysto osobiste, a niemniej udzielające się nietylko tym, którzy Szopena najbliżej rozumieć mogli, ale i w ogóle wszystkim, którzy kiedykolwiek wiele kochali i cierpieli dużo.

Nie zawsze poprzestając na wymiarach, w których mu swobodniej było rysować według własnego upodobania, probował także zacieśnić myśl swą w ramy klassycyzmu. W tym stylu stworzył także istotnie piękne *koncerty i sonaty*; nie trudno w nich przecięż więcej chęci dobrej, jak natchnienia dopatrzyć. To ostatnie bowiem nakazujące u niego było, kapryśne, nieobmyślane. Ruchy potrzebował mieć zawsze swobodne, i wątpliwości nie ulega: że gwałt zadawał własnemu geniuszowi, ilekroć potrzebował poddawać go przepisom i w ogóle cierpliwemu porządkowaniu, które mu wcale nie było właściwe, a raczej w sprzeczności stało z wymaganiami jego umysłu, jednego z tych, którego zasoby dopiéro wtedy w całym się uwydatniają wdzięku, kiedy rzec można z biegiem wody się puścił.

Godzi się przypuszczać: że w tym względzie ulegał poniekąd przykładowi przyjaciela swego Mickiewicza, który jak to wiadomo, pierwszy w narodzie swoim fanta-

styczną wytworzył poezyą, szkołę odrębną w literaturze polskiej tworząc, a przecięż jednocześnie w Grażynie probując surowość dawnych form uszanować. Szopen jednak, zdaniem naszém, w tymże samym kierunku nie tyle co tamten był szczęśliwy. Nie tyle mu się udało, w te twarde i ściśle ograniczone zadania, wtłoczyć nikłe i nieujęte pomysły, stanowiące niezrównany wdzięk jego utworów. Nie zdołał on przymusić do nich tej swojej mglistej i rozpływającej się nieokreśloności, która rozcieńczając najwybitniejsze form zarysy, powleka je niby tumanu powietrznego rąbkiem, na podobieństwo tych szat powiewnych któremi otulały się piękności śpiewów Ossyana, ukazując śmiertelnym słodkie woje w przepływających obłokach oblicza.

Próby te jednak, niemniej uderzają rzadką stylu szlachetnością, mają nawet nie jedno wielkiej wagi miejsce, niekiedy całe ustępy, zadziwiające swoją podniosłością. Dość przytoczyć *Adagio* drugiego *koncertu*, do którego sam nawet wielkie miał upodobanie, chętnie je nieraz grając. Akcessorya należą tu do najświetniejszej jego maniery, myśl zaś przewodnia szerokością swoją zdumiewa. Cały ten ustęp jest istotnie idealnej doskonałości; jego uczuciowość, kolejno: to rozpromieniona, to rozżalenia pełna. Nasuwa on wyobraźni wspaniały jakiś krajobraz w światłości skąpany, coś niby w rodzaju szczęśliwej Tempe, którąby skazano na wypowiedzenie w niej czegoś smutnego, lub nawet odegranie udręczającego serce zdarzenia. Rzekłbyś: niepowetowana jakaś strata, witająca cię na wstępie w obec niezrównanych wspaniałości przyrody; przeciwieństwo, podtrzymane zlaniem i stopniowém obniżeniem odcieni tak kunsztownem, że nic tam nie tylko szorstkiego, ale i niespodzianego nie sprzeciwia się łagodnym wzruszeniom wiejącym z tej zachwycającej całości,

która zdaje się mieć zadanie roztęschnić radość i ból złagodzić.

Godziż się tu nie wspomnieć zarazem o tym *Pochodzie żałobnym*, wtrąconym w pierwszą jego sonatę, który rozpisany został na orkiestrę i zarazem wykonany po raz pierwszy, przy smutnym obrzędzie przeniesienia jego zwłok na miejsce wiecznego spoczynku? Podobnaż wymyśleć inne jakie dźwięki dla wyrażenia w sposób równie rozdzierający: uczuć i łez, jakie towarzyszyć miały w drogę wieczności temu, który w tak szczytny sposób wielką stratę opłakiwać umiał? Jeden z jego ziomków rzekł mi raz z tego powodu: „Myśl tę tylko Szopen wydobyć z siebie był zdolny.” W istocie, wszystko co tylko orszak tłumów którym serce pęka, mieć w sobie może uroczystego i przeszywającego dreszczem, odczuć można w tym dźwięku pogrzebowego dzwonu, który się obrzędowi całemu towarzyszyć zdaje. Całe zbiorowe uczucie tylu ekstatycznych nadziei, mistycznych nawoływań o miłosierdzie nadludzkie, kołatania w podwoje niewyczerpanej Łaski i tej przedwiecznej Sprawiedliwości, która równie grób każdy jak i kolebkę ma na oku, cała ta rozpalona gorączką zachwytu rezygnacya wreszcie, która wieńcem aureoli opromienia tyle boleści podniesionych nieraz na wyżyny bohaterstwa—brzmi zwycięzko w tym śpiewie, którego błaganie tak jest przepojone rozpaczą. Co tylko znaleść można najczystszego, najświętszego, najpokorniejszego, najmocniej wierzącego, najtkliwszą przejętego nadzieją—w sercu prostaczków, kobiet i dzieci; jęczy tam drży i płacze w sposób niewypowiedzianie przenikający. Czujesz: że tam wszyscy opłakują stratę, po której chyba nie wiele co już pozostało. Melopea ta, tyle grobowa i posępna, złagodzona jest przecięż tak przedziwną słodyczą, że wydaje się, jakby już nie była z tego świata. Dźwięki jej,

× Nauka o melodyi w Klasycyzmie

które rzekłbyś, rozcieńczyła już odległość, dochodzą cię niejako anielskiemi zawodzone usty, kołysane na obłokach świetlanych, w około stopni Pańskiej Stolicy. Wykrzyk żaden, żaden zgrzyt stłumiony, żadne bezbożne bluźnierstwo ani groźba szalona, nierozstrajają ani na chwilę cichej skargi, którą wziąść niemal możesz za Seraficzne westchnienia. Starożytna cecha boleści najzupełniej tu jest wyłączoną. Nic tu nie przypomina chorobliwego rozpasania Kasandry, Priamowych upokorzeń, lub wyuzdania Hekuby. Sama tylko przeczysta wiara, wyniszczająca w człowieku aż do zarodów goryczy, ale też i ratująca go od upadku zwątpienia, zaczém i boleść oczyszczona już ze wszelkiej ziemskiej słabości, wprost się tu ku Bogu Chrześcijańskiemu wyrzuca ze skargą, niby przed trybunał Najwyższego Sędziego, odnajdując w sobie dla przebłagania go tak rozdzierające modły, że słuchając ich, ze współczucia, serce zdaje się pękać w wzdętej piersi.

Myliłby się jednak, ktoby sądził: że zarówno jak tu, wszystkie też inne kompozycye Szopena pozbawione są tych uczuć, które polegając na odważném zaparciu się siebie i łagodnie kontemplacyjnej rezygnacyi, mogą być nastrojem duszy wyjątkowym, ale nigdy stanem jej normalnym. Owszem, przygłuszone gniewy, powściągane wściekłości, nierzadko napotykać można w jego utworach, a do takich zaliczyć należy niektóre jego *Etiudy*, równie jak i *Scherza*, w których nie waha się wypowiedzieć najsmutniejsze gorycze mową rozpaczy, z kolei: to ironiczną, to przedziwnie pogardliwą. Chmurne te zwróty jego Muzy przeszły niemal niepostrzeżone, w ogóle zaś nierównie mniej zrozumiane, niż poemata z łagodniejszym kolorytem. Osobiste usposobienie Szopena mogło się do tego przyłożyć. Przystępny, uprzejmy w stosunkach, serdeczny, jednostajnego i raczej wesołego humoru; w ogóle mało on zdradzał skryte wstrząśnienia które w nim wrzały.

Nie był to charakter łatwy do określenia. Składały go tysiączne odcienia krzyżujące się i zakrywające wzajemnie, tak, że ani podobna było wyczytać go *a prima vista*. Równie trudno bywało zbadać co się właściwie u niego pod powierzchnią kryło, jak się to w ogóle u Słowian wydarza, u których szczerość i otwartość, wylanie i zniewalająca *desinvoltura* obejścia, nie koniecznie jest jeszcze zaufaniem i wywnętrzeniem. Uczucia ich bowiem to się odsłaniają, to znowu kryją, jak te kręgi błyszczące węża w kłębek zwiniętego. Musisz się bacznie im przypatrzyć, żebyś wpośród nich do ładu trafił. Byłoby naiwnością brać za gotowy pieniądz ich grzeczność uprzedzającą, ich udaną skromność. Pozory w tym względzie w związku są ścisłym z ich obyczajami, które dziś jeszcze ulegać się zdają wpływom dawnych ich stosunków ze Wschodem. Nie przejąwszy bynajmniej małomówności muzułmańskiej, wzięli z niej tylko nieufną powściągliwość we wszystkiém co dotykać może subtelnych duszy ich tajników, i to do tego stopnia, iż możesz być pewnym słysząc ich o sobie mówiących, że starannie ukryli coś takiego, co im koniecznie nad tobą bądź rozumu, bądź uczucia przewagę zapewni. Bywa to czy okoliczność jaka trwała, czy nawet tajemnica przelotna, z powodu której, bądź największego podziwu byliby godni, bądź szacunek powszechny utraciéby mogli—ale którą na wszelki wypadek maskują uśmiechem, spojrzeniem badawczém, lub niekiedy nawet lekkim szyderstwa wyrazem. W ogóle, wielce usposobieni wyprowadzać w pole, do czego nieprzebrane mają sposoby, poczynając od najdowcipniejszych i całkiem pociesznych, aż do przykrych i tragicznych; rzekłbyś: że w tej podstępnej formie działania, radzi są sami przed sobą wzgardliwej nad przeciwnikiem wyższości, której jednak nie zdradzają nigdy, z pewnym odcieniem udania, właściwego ludziom niemającym siły zupełnie być szczerymi.

Wątły i słabowity ustrój Szopena, wprost powściągał u niego wszelkie silniejsze namiętności objawy; ztąd mimowolnie zapewne ten człowiek zagadkowy przyjaciołom swoim same tylko łagodne i miękkie charakteru swego dawał widzieć strony. Wpośród gwaru i gorączkowych zajęć życia w wielkiém mieście, kędy niemal czasu nie masz ani sposobności zgłębiania cudzych przeznaczeń, kędy każdy sądzony jest doraźnie, według miary działalności swojej zewnętrznej, mało kto pomyśli nawet: że mógłby w bliźnim coś innego znaleźć nad pozory pod łudzącą powierzchnią. Ci przecięż, których stosunek zażyłości bliżej wiązał z Szopenem, spostrzegali to niekiedy, jak się niecierpliwił i jak mu przykrość sprawiało: że mu zanadto chętnie wierzono na słowo. Trzeba nieszczęścia, że i tu nawet artysta nie był w stanie pomścić człowieka!... Zdrowie mając za słabe, ażeby niecierpliwość tę swoję siłą egzekucyi mógł uwydatnić, odwetu szukał w spisywaniu kart energicznych, które lubił słyszeć wykonywane z całą gwałtownością, jakiej sam podołać nie umiał. W nich to bowiem, niby na falach rozkołysanych wichrami, unoszą się namiętne wykrzyki człowieka, nierównie głębiej rannego niż to wyznać raczy; na podobieństwo niby okrętu, płynącego jak zawsze z flagą rozwiniętą, podczas kiedy z rozdartych jego boków, co krok szczątek jakiś oderwany burzą zostaje po drodze.

Wrażenia podobne tém więcej wagi mają w życiu Szopena, że jak powiadamy, dotykalnie się uwydatniły w jego utworach. Stopniowo przeszły one u niego w rodzaj chorobliwej drażliwości, aż wreszcie w całkiem już gorączkowy stan się zmieniwszy, wydały z siebie prawdziwe męczarnie myślowe, jakich przykłady spotykamy w kompozycyach z ostatniego życia jego peryodu. Pod wpływem tych gwałtów tłumionych tchu niemal łaknąc,

sztuki swej używając na to tylko ażeby sobie samemu krwawe odgrywać dramata, strudziwszy do upadłego uczucie własne; począł je kunsztownie na pierwiastki rozkładać. W istocie, znaleźć można na kartach które tworzył wtedy, nie jedno w rodzaju tych wysilonych wzruszeń Jana Pawła, który koniecznie szukał niespodzianek w zakresie wyjątkowych zjawisk przyrody, a ztąd roskosznej, rzec można, grozy, która tém chorobliwém podnieceniem wyobraźni, budziła mu do życia serce, wskróś namiętnością przepalone i zobojętniałe już na cierpienia. Melodya staje się wtedy niepokoju pełna,—niestrojna jakaś uczuciowość motyw chwyciwszy, do nieskończoności przerabia go z zawziętością tak przykrą, jak bywa tylko widok męczarni, na które śmierć jedna jest lekarstwem. Otóż właśnie Szopen cierpieniem podobném do żywego był dręczony, i to mu nawet przedwcześnie dni istnienia skróciło; tedy nie dziwmy się: jeśli w utworach o których mowa, widnieją tych męczarni ślady, toż i serce rajskiego ptaka znaleźć można zszarpane przez drapieżne szpony...

* * *

Podobne jednak aberracye uczucia, które zkądinąd, nie tylko w niczém nie uwłaczają wartości roboty, ale owszem tém ciekawszą ją czynią: z rzadka tylko napotkać można w dziełach Szopena powszechniej znanych, czyli co na jedno wyjdzie: więcej niż inne cenionych. Do tych ostatnich ze wszechmiar zaliczyć by się też godziło *Polonezy*, które co prawda odstraszają ogół wykonawców hojnie w nich nagromadzonemi trudnościami; a przecięż, bodaj czy nie najpiękniejsze to Szopenowskiego natchnienia wykwity. Nie przypominają one w niczém tych bawidełek zalatujących pudrem i gracyami rokoko, któremi or-

kiestry zwykły rozpoczynać bale, któremi się nawet popisują niekiedy wirtuozi na koncertach, a zwłaszcza ckliwy smak salonowego w muzyce upodobania. Energiczne w rytmie—dreszczem nawskróś przejmują—do życia najodrętwialsze pobudzając zobojętnienie. Najszlachetniejsze tam, niby w skarbnicę, złożono uczucia. Stanowczość, w połączeniu z powagą, na wstępie uderza. Ducha po większej części buńczucznego, z dziwną go wypowiadają prostotą. Siła z nich tchnie spokojna i rozważna—choć swoją drogą nie brak tam także odcieni zalotności. Tkwiła ona w obyczajach dawnego pokolenia. Dość wspomnieć Sobieskiego, który z pod Wiednia do żony tak czułe pisywał listy...

Pierwotny układ poloneza dość jest już trudny do odgadnięcia, tak się ten taniec podobno z postępem czasu odmienił. Dziś on wygląda zupełnie bezbarwny. W istocie, z natury już swojej pozbawiony ruchów szybkich, więcej zdaje się być obmyślany na uwydatnienie okazałości jak zalotności; ztąd raz utraciwszy nieodstępną mu powagę, zmienić się musiał w przechadzkę po salonie, najmniejszego niemającą znaczenia. Nieodłączną jego częścią był strój dawniej noszony, a z nim właściwa temuż tak zwana *fantazya*. Trudno już dziś odszukać te tysiączne odcienia ruchów i zmian postawy, tak dziwnie w związku będące z rozliczną stroju tego ozdobą. Wyjątkiem w tym względzie dość rzadkim, taniec też ten, wyłącznie, jak się zdaje, uwydatniał wdzięczną stronę przewagi mężczyzny; sama już nawet jego nazwa to wskazuje...

Strój owoczesny, już samym fantastycznym swoim pokrojem, nadawał gracye dziś nieznane: pochylenia miarowe, nagłe prostowanie się, odrzucanie wylotów, ujmowanie się w pasie, pokręcanie wąsa. Dodajmy do tego zbytek w tkaninach, w żywości barw, w kosztownościach.

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA WARSZAWA BIBLIOTEKA
Zbiory Stowarzyszenia

Te ostatnie na kołpakach nawet błyszczały. Więc też kołpak w tańcu tym także niepoślednią odgrywał rolę, umieć go zdjąć, włożyć nazad znacząco, skłonić się nim swobodnie, stanowiło sztukę całą, szczególnie wymagalną u tego, który w pierwszej parze idąc, niejako wspólne prawo nadawał całemu ciągnącemu za nim pochodowi.

Bywał to zwykle sam pan domu, towarzyszka zaś jego, nie koniecznie najpiękniejsza albo najmłodsza, ale przeciwnie najszanowniejsza z kobiet obecnych; całe bowiem towarzystwo zebrane uczestniczyło w tém rozpoczęciu zabawy, będącém niejako wspólnym dla wszystkich popisem. Po gospodarzu szły dalej co znakomitsze osoby, z towarzyszkami tegoż co one znaczenia. Przewodniczący tymczasem nie lada zadanie miał do spełnienia. Przyjętém było że pochód, w tysiącznych skrętach, prowadzony być musiał przez każdą najodleglejszą nawet domu komnatę—a tam wszędzie po drodze napotykało się tłumy gości, niecierpliwie czekających na swoję kolej, dopóki co do jednego wszyscy się do orszaku nie przyłączą. Kiedy już komnat nie stało, krużgankami w ogrodowe szło się szpalery, wreszcie w gaje cieniste, kędy muzyka odległością przyciszona, z powrotem stopniowo coraz znów głośniejsza, tryumfalnym wreszcie wybuchem zdawała się w sali głównej witać pierwszą parę. Tak co krok innych mając widzów, przewodnik tańca w każdej chwili pamiętać był zmuszony, że jest przedmiotem surowej krytyki, naglądającej bacznie: czy i w jaki sposób spełnia przyjęte dobrowolnie obowiązki, które dla drugich mają być przykładem. Z tej też miary dumny i animuszu pełen, mniemałby sobie i własnym gościom uchybiać, gdyby co braknąć mogło godnemu zadowoleniu tylu i tak dostojnych osób, które ku uczczeniu jego w najkosztowniejsze się przystroić raczyły ubrania....

Tak przeciągając do nieskończoności nierzadko natrafiano na urządzone z umysłu w tym celu niespodzianki—widoki jakieś malownicze—z żywych osób obrazy—sztucznemi ogniami oświetlone napisy z okolicznością w związku będące, — i tym podobne urozmaicenia. Im więcej tego było, im rzeczy naglejsze i nowsze w pomyśle, tém i żywsza była uciecha, tém potężniej wrażenie całe wychodziło na chwałę gospodarza. Taki nierzadko na dalsze nawet okolice sławnym się stawał. Jeżeli to był człek już niemłody, zdarzało się: że mu najpiękniejsze panny w imieniu całego towarzystwa, za upoważnieniem matek, podziękowania za to składały. Dalej przykład jego stawał się do następnych zabaw zachętą, do zjazdów tłumnych—obudzał także poszukiwaną przez młodzież emulacyą...

Gościnność jednak, jak we wszystkich wtedy czynnościach, tak się i w tańcu tym uwydatniała. Kiedy gospodarz, poprowadziwszy orszak zaproszonych, ze wszech miar zadosyć już uczczeniu ich uczynił, każdy z kolei miał prawo odbić mu jego damę. Wtedy on szedł na sam ostatek, inni zaś porządkiem poprzednio trzymanym posuwali się ku przodowi, i tak stopniowo, aż dopóki wszystkie damy nie przetańczyły ze wszystkimi mężczyznami należącymi do orszaku...

Tymczasem każdy z tych którzy się naprzód wydostali, starał się poprzedników swoich umiejętnością prowadzenia przesadzić. Szły tedy najdziwniejsze esy, floresy, czasami nawet całych wyrazów i całych zdań napisy. W tych niepoliczonych skrętach, z niezrównaną sztuką dokonywanych nieraz w jednej i tej samej sali, nie było wypadku, żeby się pochód kiedy przerwał lub poplątał; tak dalece umiano tam wniknąć w intencye przewodniczącego. Jednocześnie niewolno też było przesuwać się

sobie machinalnie, byle zbyć, byle iść za drugimi. O! wcale nie. Szło się w sposób rytmiczny, akcentowany, w miarę kierunku muzycznego, kołysząc się harmonijnie. Przy zmianie nawet nie wyrywano się obcesowo—owszem wszystko szło zgodnie, wspólném niby porozumieniem. Sunięto się na podobieństwo łabędzi płynących z biegiem strugi; zdawało się że jedno i to samo tchnienie pochyla lub wznosi wszystkie te przeciągające wężowemi skręty postacie. Mężczyzna podawał damie to prawą rękę, to lewą; niekiedy zaledwie końcami palców ją wiodąc, to znów całą dłonią; to na tę przeprowadzał ją stronę, to na tamtą; a każdy ruch taki, natychmiast przez wszystkich naśladowany, na podobieństwo niby dreszczu, przebiegał w oka mgnieniu całą tę ruchomą wstęgę. Jakbądź pozornie całkiem niby tém powołaniem swojém zaprzątnięty, niemniej tancerz upatrzeć umiał chwilę, w której pochyliwszy się ku swojej damie, z przyjaznych korzystając okoliczności, nie jedno słodkie słówko jej podszepnął jeśli była młoda—jeśli zaś nie, to jakie zwierzenie, nowinę ciekawą, uwagę trafną, lub co podobnego. Następnie znagła dumnie się prostując, wąsa pokręcał i przybrawszy postawę marsową, w towarzyszce swej odpowiedni okolicznościom nastrój obudzał.

Tak więc, jak widzimy, nie była to sobie ani żadna powszednia, ani pozbawiona głębszego znaczenia przechadzka; raczej owszem pochód ceremonialny, w którym się niemal uosobiało społeczeństwo całe, podobające sobie we własnym blasku, szlachetności i wspaniałości dworskiej. Tam najsędziwsi i najzasłużeńsi dziwnie poszukiwani byli przez najsłynniejsze swego czasu piękności, które za zaszczyt sobie miały, choć jednę życia chwilę i choćby na żart, w obec licznych świadków, za towarzyszki takich ludzi uchodzić. Wszystkim tam bowiem

upodobanie do okazałości zarówno wrodzone było, i tylko wdzięk niepośledni w tym smaku ostentacyjnym pierwotną łagodził surowość, zaprawiając go odblaskami uczuć szlachetnych i urokami delikatnych intencyi.

Szopen przyszedł na świat w czasach, w których tradycye tego tańca do przeszłości już należały bezpowrotnej—niemniej w dzieciństwie znał jeszcze nie jednego starca z owej epoki, a tak, częścią z opowiadań, częścią z przeczucia, więcej zapewne niż z dziejów i poezyi, przejąć się potrafił jego duchem. A przecież nie było to tak łatwém jakby się zdawało. Odtworzyć rzecz z której już życie uciekło, jednym tylko geniuszom jest dano...

Ściśle biorąc, o charakterze poloneza, od czasu opisu jego w ostatniej części Pana Tadeusza, nic się już nowego dziś powiedzieć nie da. Akcya tego poematu, jak wiemy, odbywa się na samych kresach dawnego rzeczy porządku, w chwili kiedy nowi już ludzie nastają, a z nimi powoli i pojęcia też i upodobania nowe... Nie ulega wątpliwości że Szopen z Mickiewicza niemało do utworów swoich naczerpał natchnienia.

Pierwotna muzyka polonezów, której ślady, jak się zdaje, nie przechodzą po za ostatnie stulecie, w ogóle mało ma dla sztuki wartości. Zresztą, nikt niezna ich autorów, najczęściej noszą tylko pewne daty, lub nazwy osób, których upamiętniają wspomnienie... Odznacza je słodycz i powaga... Inne noszą cechę tak smutną, że wziąłbyś je niemal za coś żałobnego...

Z kolei idące potém polonezy Ogińskiego niebawem zasłynęły szeroko (*). Zachowując jeszcze ów odcień

(*) Z tych jeden szczególniej (*f major*). Na zdobiącej go okładce przedstawiono autora odbierającego sobie życie wystrzałem z pistoletu — czego wcale w rzeczywistości nie było. Daje to jednak miarę rodzaju uczucia, jakiém ta dziwna kompozycya jest przejęta.

posępny, łagodzą go jednak pewnym tkliwości wdziękiem, co im nadaje charakter słodkiej melancholii. Pierwotna rytmu buńczuczność zaciera się tam zwolna, natomiast zaś występuje modulacya; właśnie jakby pochód taneczny, z gwarliwego wprzódy, stawał się zamyślonym i niezbyt już chętnym do śmiechu... Jedna tylko miłość błąka się tam uporczywie, bez końca niby nucąc zwrotkę, którą Bard zielonego Erinu współcześnie w łagodnych powiewach morskich wyspy swej podsłuchał:

Miłość z bolu zrodzona, jest jak ból prawdziwa.

W istocie, w tych tak znanych powszechnie utworach Ogińskiego, zdaje się że słyszysz nieustannie szept myśli tej wśród dwóch westchnień przyśpieszonych, lub odgadujesz go przynajmniej w oczach zaszłych łzami.

Nieco później wrażenia podobne odbiegają coraz dalej. Życie, zaprzątnienia powszednie wracają swoim trybem—boleści przechodzą we wspomnienia, i stają się już tylko dalekim odgłosem. Wyobraźnia przestaje wywoływać pierzchające cienie... przesuwa się z ostróżnością wszelką... i już w polonezach Lipińskiego czujesz: jak serce uderza znowu wesoło — roztrzepanie — nawet mało poważnie. Melodya narysowywa się coraz wyraźniej, wonią młodości i wiosennego kochania tchnąca. Zakwita wreszcie w śpiew ekspresyi pełen, niekiedy nawet dziwnie rozmarzony; przemawia tylko do serc budzących się do życia, szepcząc im poetyczne złudzenia; nie zdaje się już być przeznaczoną jak dawniej dla osób wiekiem i stanowiskiem poważnych; zwraca się raczej ku wyobraźniom żywym, więcej uciechy niż blasku żądnym. Meyseder, idąc dalej tą drogą, zaszedł aż do najfiglarniejszej zalotności i wytworzył w tym rodzaju istotne cacka koncertowe. Ale niebawem naśladowcy jego

*

zarzucili świat muzyczny pomysłami, które już nawet na nazwę polonezów zasługiwać nie mogą.

Na szczęście, Geniusz pochwycił znagła leżące już odłogiem berło tego rodzaju kompozycyi. Chcemy tu mówić o Weberze. Zrobił on z poloneza dytyramb niby jakiś wzniosły, w którym ni ztąd ni z owąd odnalazły się wszystkie dawne tańca tego wspaniałości, wraz z całym olśniewającym ich rozwojem. Ażeby tego dokazać, zebrał w jedno najróżnorodniejsze sztuki swej zasoby, i nie usiłując być archeologiem, twórcą być zrobił sobie zadanie. Uwybitnił rytm, melodyą zmienił w rodzaj opowiadania, modulacyami zaś ukoloryzował ją z tak wielkim zbytkiem, że wydało się to na przyszłość nieodzowną potrzebą. Wszędzie rozpuścił hojnie życie, ogień, namiętność, a obok tego nie zaniedbał wyniosłej powagi i tej rzec można urzędowej godności, która zdawna odznaczała poloneza charakter. Przewodzą tam wybitnie akordy brzmiące... Gwar głosów nie ma tam już w sobie nic miłośnego; owszem, przeważają w nim nuty nizkie pełnego, głębokiego dźwięku, na podobieństwo mowy włożonej do rozkazywania... Czy Weber wiedział o tém co bliższego? Próżnoby pytać i nawet bezpożytecznie. Miewa geniusz swoje przeczucia, którym w pomoc przychodzi poezya...

Wrażliwa i gorąca wyobraźnia Webera, raz przedmiot podobny chwyciwszy, umiała do ostatecznej jego głębi się dobrać, i z tej na swój pożytek tak dzielne powydobywać pierwiastki, że wydawało się niepodobną niemal rzeczą po nim coś jeszcze na tej drodze do zrobienia znaleźć. Tymczasem właśnie tego Szopen dokazał, tyleż można powiedzieć liczbą i rozmaitością swych wytworów, ile potęgą środków i nowemi pomysłami w harmonii. Dwa przytoczyć można polonezy jego (*A* i *As major*), rodzajem swego natchnienia i formą mocno

się zbliżające do Webera (*E major*). W innych zboczył już z tej szerokiej drogi. Odtąd wcale już inaczej przedmiot swój traktował. Czy przeto zawsze szczęśliwiej? Sąd bezwzględny byłby tu rzeczą niezupełnie właściwą. Jak tu poecie narzucać takie lub owakie prawa? Niemaż mu być wolno osowiałym być lub przybitym, choćby wpośród ogólnej wesołości objawów? lub śpiewać boleść, kiedy już wyśpiewał chwałę? lub współczucie mieć dla takich, którzy nie zawsze cierpieli? Bez najmniejszej wątpliwości, jeden to z przeważnych przymiotów Szopena, że on tak po kolei umiał rzecz swoję z najrozmaitszych stron światłami obrzucać, równie błyski uwydatniając słoneczne, jak i koniecznie towarzyszące im cienie. Własnych jego uczuć rozliczne przemiany wielką mu w tej wielości punktów widzenia bywały pomocą, i doprawdy podziwu są godne te psychiczne w kompozycyach Szopena objawy, wtedy nawet, kiedy je nie dość silnie podtrzymuje natchnienie. Nie zawsze bowiem z rozmysłem stosownym ujmował całość obrazów, które mu nastręczała wyobraźnia, lub odtwarzały wspomnienia. Bywało: że z pośród świetnego ich orszaku, uparcie wybierał jaką postać oderwaną — snadź pociągała go ku sobie magia jej wejrzenia,—wtedy podobał sobie w nasłuchywaniu jej wewnętrznej mowy, i wtedy gwarzył już z nią tylko samą.

Do najenergiczniejszych jego pomysłów należy *Wielki Polonez* (*Fis minor*). Ni ztąd ni zowąd wkręcił w niego Mazura. Pomysł ten w każdym innym razie mógł być sobie ochoczym zapustnym kaprysem, ale jak tu, z ponurą zażyty fantazyą i raczej zjawisku jakiemuś upiorowemu podobny, wszelkie wrażenie pustoty, nakazującém niby ręki skinieniem, na bok odsuwa. Rzekłbyś, że to o słabych brzaskach zimowych opowiadanie przy-

widzeń bezsennie spędzonej nocy,—w którém w dziwaczny sposób niewyraźne plączą się przedmioty—potrącając się wzajemnie, pół niebywałe, pół niemożebne—na podobieństwo tych obrazów, których majaczenie tak trafnie spisał Byron, a za nim powtórzył Mickiewicz:

Dwoiste życie nasze. Sen ma świat udzielny
Wśród otchłani nazwanych bytem i nicestwem.
Nazwanych—lecz nieznanych....
Mary, i życie biorą i postaci noszą,
Rozczulają, i dręczą, i łechcą roskoszą....
One się do istoty naszej mogą wcielić,
Zabrać połowę czasu i byt nasz podzielić....
Jak posłańce wieczności błysną i przepadną....

Główny motyw stanowi tu melodya złowieszcza, podobna do chwili poprzedzającej wybuch nawałnicy,—mniemasz słyszeć dochodzące cię zdala wykrzyki rozpaczy,—niby wyzwanie rzucone w twarz wszystkim od razu żywiołom. Jednocześnie uporczywe wracanie jednej i tej samej toniki, na początku każdego taktu, sprawia wrażenie przygłuszonych, ale z całą zawziętością padających uderzeń gromu... W następstwie tej toniki, przechodzą takt po takcie najniezwyczajniejsze akordy. U najcelniejszych mistrzów nie znam nic coby dorównać mogło wrażeniu, jakie sprawia ten ustęp, przerwany znagła sceną najspokojniej sielską—tańcem wieśniaczym tak idylicznego stylu, że zdaje się być przejęty wonią macierzanki. Mazurek ten niewinny, zamiast złagodzić uczucie zasmucenia, któremu uległeś na początku, gorzkiém swém przeciwieństwem tak cię owszem udręcza, że niemal ulgą ci jest doczekać się znowu powrotu pierwotnej frazy; jakbądź z nią razem odzyskujesz widowisko bezowocnych szamotań, ale wolnych przynajmniej od uśmiechu tego szczęścia, tyle w sobie dobrodusznego, a tak niepragnącego

sławy. Wreszcie, na podobieństwo właśnie rzeczy przyśnionej, improwizacya ta dziwna poprostu kończy się tylko pewnym rodzajem dreszczu, który ci się udziela, jak coś co ci się słusznie należało.

W polonezie—fantazyi, który należy już do ostatniego peryodu twórczości Szopena, to jest do liczby dzieł jego nacechowanych, że tak powiemy, gorączkową trwogą, niema już śladu tych tak zuchwałych, a tak jaskrawo oświetlonych obrazów,—nie słyszysz tam już tętentu, ani śpiewów zdradzających pewność siebie i duszy swobodę. Wszędzie tam elegijne panuje zasmucenie—mięszanina osłupiałych spojrzeń, melancholicznych uśmiechów, bezmyślnego ruchu, lub spoczynku przejmującego dreszczem; jak bywa w człowieku zewsząd obsaczonym przez złą dolę, dla którego na widnokręgu całym znikąd nie świta nadzieja, któremu niejako rozpacz uderzyła do głowy, na podobieństwo tych co przebrali miarę w użyciu Cypryjskiego wina:—myśl oni mają żywiej zbudzoną, płynniejszą niż natrzeźwo wymowę, doraźniej czują, chwilowo nawet żyją potężniej—a przecież umysł ich w podnieceniu swojém blizki jest obłędu...

Są to już wszystko przedmioty w obrazowaniu swojém mało dla sztuki mające powabów, jak w ogóle wszelkie krańcowe momenta—konania, prostracye, konwulsyjne drgania, jedném słowem chwile, w których nerwy zwolna przestając być organami woli, stopniowo w porozumieniu z cierpieniem, w bierny łup najdostojniejszą zmieniają naturę. W tej smutnej fazie jakże oględnym, jakże wyższym nad siebie należy być artyście!...

* * *

Mazury Szopena ekspresyą swoją całkiem się od polonezów różnią. Charakter ich nawet zupełnie inny.

Niezmiernie delikatne odcienia, świetlane a zmienne, zastępują tu jaskrawy i pełen siły koloryt poprzednich kompozycyi. Uczucie czysto osobiste, rozdrabniane, przerabiane do nieskończoności, trzyma tu miejsce dawnego, szerszych nierównie, a zwłaszcza ważniejszych spraw znaczenia. Żywioł niewieści (w znaczeniu zniewieściałości) zamiast być odsuniętym w półcień jaki tajemniczy, przeciwnie, w świetle tu stoi, i to z tak silném odznaczeniem, że wszystko inne z drogi mu schodzi, a przynajmniej kroczy tylko w jego orszaku. Nie te to czasy, w których kobietę chcąc pochwalić, mówiło się o niej: że jest *wdzięczna*. Kobieta nic tu już do zawdzięczenia nie ma—ona tu bowiem króluje. Nie jest już ona jak dawniej wybraną tylko życia cząstką—ale owszem, życiem całém. W człowieku krew tu nie woda;—przy całej bucie jego dręczy go kołowacizna roskoszy. W tym względzie pieśni ludu niewątpliwie za pierwowzór Szopenowi służyły. Jak wiadomo, poezya z muzyką wzajemnie się tam wspomagają. Najczęściej, co do ducha, przeciwieństwo tam osobliwe—a ztąd i wrażenie dziwne, zwłaszcza jeśli dla scharakteryzowania go uwzględnić zechcemy to, co lud nazywa sobie: *cieszyć własną biedę*. Jest to poniekąd spoić ją, zawrócić jej w głowie, do upadłego ją zmęczyć. Że tu przy muzyce stosowne też do okoliczności improwizują się słowa, ztąd i związek tej poezyi z rozlicznemi z życia wspomnieniami, a dalej utrwalenie tych pieśni, codzienną serca potrzebą. Lud nie tylko przy tańcu śpiewa. W polu czy w lesie, w żniwa czy przy cepie, na pokosach na ugorze, przy dojeniu krów, przy kołowrotku, z jarmarku lub z odpustu lub z pastwiska za bydłem wracając, chętnie on pieśnią sobie życie uprzyjemnia. Lada też wrażenie budzi stosowny oddźwięk w duszy wieśniaczej. Ptak się poderwał, słonko błysło poprzez chmury, las szumi,

fujarka się w dali ozwała,—dopiéroż wesela, chrzciny, lub zwykła w karczmie ochota.

Szopen z rzadkiém powodzeniem umiał pochwytać te tysiączne motywy—przybierając je we wszystkie uroki swego stylu. Szlifując je w pryzmatyczne kryształy, powydobywał z nich ognie im samym nieznane; owszem, odpadłe nawet przy tém pyły zużytkował ku niepożytej ich ozdobie. Pytanie nawet: czy w innej jakiej formie zdołałby dosadniej utrwalić owe promienistych wspomnień swoich skarby? Są tam bowiem poemata całe—ustępy liryczne—nawet sceny z życia—nawet opowieści. Wątpliwości nie ulega, że właśnie ten a nie inny jaki, znany już światu rodzaj wypowiedzenia myśli, utworom Szopena zjednał rozgłos, o wiele przekraczający ostateczne kresy ziemi z której wziął początek—co mówię—on to wyjednał im niepoczesne miejsce wśród wybranego grona tych idealnych typów, które sztuka uświęca niezgasłemi blaski.

Aby dokładnie módz zrozumieć ile forma podobna odpowiednią jest odcieniom uczucia, jakie tu Szopen w tęczowych barwach bez ustanku rozrzuca—potrzeba koniecznie widzieć mazura tańczonego na miejscu. Wtedy to, i tam jedynie, przekonać się można, ile ten taniec wypowiada sobą: to dumy, to czułości, to wreszcie wyzywającej ochoty. Mężczyzna wybrany przez tancerkę, chwyciwszy ją jakby zdobycz, której już nie puści, czas jakiś zwycięzko jej sam na sam towarzyszy, przytupując, hołubca bijąc, tysiączne wyrabiając junactwa, jakby się sobie ze współzawodników swoich natrząsał—nareszcie wpół ją ująwszy, wykręca z nią zawrotnego młynka na lewo, i staje znagła równemi się osadziwszy nogami, tyleż butny i szczęśliwy, ile ona zapłoniona i drżąca. Doprawdy, mało znam równie zachwycających widoków,

jak bywa zabawa w tym kraju: kiedy w całej pełni mazura uwaga wszystkich gości (zamiast być rozrywaną przez tłum tancerzy potrącających się tylko w rozmaitych kierunkach), bacznie zwrócona jest na jednę, dobraną co się zowie parę, ruszającą z kopyta w przestrzeń całkiem pustą. Czasem na chwilę z rąk się puszczą, osobno, acz zawsze w równi z sobą tańcząc, klaszcząc, piętami wybijając, potém znowu razem; aż znagła osadziwszy się na jedném miejscu, chwytają się i wirują, aż się w głowie zawraca. Niekiedy dwie pary wylatują jednocześnie; wtedy niebawem mężczyzni spotkawszy się na środku, młynkowym zwrotem w okamgnieniu zamieniają tancerki, czasem się znów jaki trzeci między nich przyplącze, wpadnie z nienacka, porwie którą i tańczy z nią, podczas kiedy jej wybrany odchodzi jak zmyty. W tym względzie dama w pierwszą parę tańcząca, największej używa wziętości—i nic dziwnego, toćże to zwykle najpowabniejsza bywa.

Podczas kiedy *wale* i *galop* chaotyczne tylko przedstawiają widowisko; podczas kiedy *kontredans* jest jedynie rodzajem turnieju, w którym z równą obojętnością bronisz jak nacierasz, w którym równie z niechcenia się zalecasz, jak i z niechcenia bywasz wyróżniany; podczas kiedy żywość układu *polki*, jakbądź nie wyzuta z wdzięku, z łatwością przecież dwójznaczne przybiera pozory; podczas kiedy *fandango, tarantella, menuet*, są sobie tylko ekspozycyami scen miłośnych, w których pierwszeństwo trzyma zawsze tancerka, patrzącym zaś nie pozostaje jak być bezmyślnemi świadkami objawów zalotności, nie mającej z obecnością ich nic wspólnego;—w *mazurze* przeciwnie: masz i dramat miłośny i wszystkie jego namiętne odcienia, a co większa, mężczyzna ściśle równy tam

kobiecie, ci zaś co na nich patrzą, niemniej też w tej ich sprawie czynny udział biorą.

Pary występują tam w porządku—jedna po drugiej, każda sobie i to na sposób, rzec można, publicznego popisu. To sprawia, że się tancerz wysadza ile może, żeby się okazać godnym swojej damy—ona też ze swej strony, żeby odpowiedzieć położonemu w niej zaufaniu;—oboje zaś jawnie w obec wszystkich—bo tu idzie o ogólne uznanie, a w części też ażeby zatrzeć wrażenie popisu par poprzednich i następnych. W chwili ostatecznej, niby jednomyślnym obecnych wyrokiem, tancerz ruchem szybkim zwycięzko sobie zdobywa swoję pannę, a ta, na ramieniu mu rękę kładąc, chętnie na to przyzwala, i tu jest pole do wykazania najdelikatniejszych zalotności kobiecej odcieni, od namiętnego poczynając uniesienia, aż do oddania się z całym przekonania spokojem i mocą.

Ale nawet i wprzódy jeszcze, ileż tam dla kobiecego wdzięku do popisu sposobności! Zrazu, z trwożném niejako zaczynając wahaniem, tancerka kołysze się przez chwilę, niby ptak zbierający się do lotu—następnie sunąc się to na tę, to na owę stronę czas jakiś jak rybka, jedną razą zrywa się w poskokach i już jej nic nie wstrzyma. Wtedy powłóczyste rzuciwszy spojrzenie, leśnemu bóstwu podobna, z podniesioném czołem, piersią wzdętą, podrywanemi ruchy powietrze przecina i zdaje się jak łódka z biegiem fal puszczona, igrać sobie z przestrzenią. Dalej—to się znów prześliźnie, to podskoczy, tych wzrokiem obdzielając, tych uśmiechem, tych słowem słodkiém, wreszcie, rękę wybranemu swemu podawszy, całą siłą puszcza się w to szaleństwo taneczne, które ją w oka mgnieniu z jednego końca sali na drugi przerzuca; przemyka się, płynie, leci—stopniowo utrudzenie rumieńcem ją barwi, wzrok jej rozognia, kibić pochyla, ruchy zwal-

niać zmusza; aż w końcu tchu łaknąca, wyczerpana, prawie już zemdlenia blizka, wpół porwana silną tancerza swego ręką, niemal w powietrze wyniesiona, kończy tak zawrotnym wirowym ruchem *od siebie*, że zdaje się jak sen niknąć z oczu.

Zresztą, najróżnorodniejsze figury urozmaicają co chwila te osobiste popisy, w których nie trudno ujrzeć niejednę Atalantę, i to taką, jaką tylko Owidyusz mógł wymarzyć. Przy zaczęciu mazura wszystkie pary za ręce się ująwszy, wiążą się w jedno ogromne koło, zataczające się z szybkością olśniewającą oczy. Wyglądato jak jeden wielki wieniec, w którym kwiatami są kobiety; jednostajny zaś ubiór mężczyzn niby liśćmi go przeplata, ciemném tłem swojém jeszcze mocniej podbijając blask tych wiosennych klejnotów. Następnie porozrywawszy się na pary, puszcza się to wszystko w jeden ochoczy pochód taneczny, przemykając się przed oczami widzów, na podobieństwo owego przeglądu szyków idących do boju, które z chlubą w pieśniach swoich wylicza Homer lub Tasso. Z tego zaś na cząstki rozbicia, nie prędzej aż w godzinę lub i później na zakończenie tańca, znowu się wszyscy za ręce chwyciwszy, takiém samém jak na początku wirują kołem;—a jednak i wtedy jeszcze próżnobyś tam szukał śladów znużenia—owszem, najdelikatniejsze, najwątlejsze z pozoru panienki, rzekłbyś, w tych drobnych członkach swoich posiadać chyba muszą niestrudzoną niczém i niezużytą nigdy stali sprężystość.

W ogóle kobiety polskie wrodzoną już w sobie mają całą czarodziejską tańca tego wiedzę. Najmniej nawet od natury uposażone, jeszcze w niej mistrzyniami bywają. Skromność bowiem i nieśmiałość tyleż tam mają pola do popisu, ile i słuszna duma tych które wiedzą: że powabami swemi zdobyły sobie pierwszeństwo. Czy nie

dla tego się tak dzieje że to jest taniec ze wszystkich najniewinniej, najczyściej miłośny? Tańczący, jak powiedzieliśmy — są tu pod nieustannym wszystkich patrzących nadzorem — owszem, tyleż dla siebie się bawią—ile dla drugich—ztąd i wzajemna wrażeń zamiana, tu i tam jednej natury przyjaźne usposobienie, jednoż zajęcie, jedna chluba,—słowem wspólny, równie skromności jak i uciechy interes.

Szopen umiał wyprowadzić na jaw całą poezyą, zaledwie zlekka naszkicowaną w pierwowzorach, które mu za źródła w tym razie służyły. Zachowując rytm im właściwy, uszlachetnił ich melodyą, rozprzestrzenił wymiary, wprowadził do nich światłocienie harmoniczne, tyleż nowe, ile i przedmioty do których je stosował; i tym sposobem w utworach, które lubił słyszeć nazywane *obrazkami*, stopniowo uwydatnił nie tylko uczucia serc rozkołysanych upojeniem zabawy, ale i uroki tych przestanków chwilowych, w których miłośne pary, czekając swojej kolei, sam na sam, z boku gdzieś, tyle sobie wzajemnie do powiedzenia mają.

Niewinne zaloty, próżnostki, budzące się skłonności, przemijające gniewy, smętne usposobienia, wybuchy namiętności, wreszcie zwycięztwa jednych, porażki drugich, wszystko tam znajdziesz. Jednak nie łatwo to zrobić sobie pojęcie zupełne tej nieskończonej liczby stopni, po których z mniej lub więcej dobrą wiarą przebiega namiętność tu lub tam się zatrzymując, w tym kraju, w którym od pałaców aż do chat, mazur na pierwszém miejscu rej wodzi—w kraju tym, w którym przymioty i wady ludzkie tak się dziwnie z sobą splatają, że przy tym samym co i gdzieindziej stosunku, objawy ich do niepoznania są inne... Ztąd niezmierne urozmaicenie w charakterach, dziwnie zaciekawiające cudzoziemca, w każdym

nowozawartym stosunku przedstawiające mu studyum nieznane, w każdym niezwyczajnym wypadku przedmiot do spostrzeżeń. Nic tam nie ma ci być obojętném, nic uwagi nie godném, nic powszedniém. W oczach mnożą ci się przeciwieństwa wpośród tych organizacyi tak ruchliwych w swojej wrażliwości—tak bystrych rozumem, tak przenikliwych, a tak mających się na ostrożności—tak uczuciowych jednak, że nieraz ni ztąd ni zowąd oglądasz serce ich na dłoni, chwilowo tak jaskrawym oświetlone błyskiem, jak bywa tylko wybuch pożaru w noc ciemną. Dodajmy do tego: że w kraju tym lada wypadek zbliżyć może, a nawet przyjaźnią związać ludzi, wczoraj jeszcze całkiem sobie obcych. Natomiast słowo czasem jedno rozerwie najzażylszy stosunek.

W następstwie, ta uwaga tak nieustannie wytężona, u usposobień więcej do podziału serca skłonnych, wyradza rodzaj męczącej lekkości—nawet zadziwiającej, zanim się dobadasz właściwych objawom jej pobudek. Usposobienie podobne zaprawia ironią najpoetyczniejsze uczucie, najtkliwsze marzenia, najpoważniejsze nawet myślenie. Z tém wszystkiém, z łatwością wymyka się sprawdzeniu, będąc z kolei to rzeczywistém to pozorném; ale szczególnie mając na zawołanie właściwą sobie dyalektykę, podobną niby do pstrej zasłony, którą gdybyś podjąć potrafił lub rozedrzeć, nie jednę rzecz istotnie piękną znalazłbyś pod spodem. Tym sposobem zdarza ci się nieraz istotnie głęboką wymowę w żartobliwej widzieć szacie, gubiącą z niej po drodze niejednę błyskotkę, która bynajmniej jednak szychem nie jest; a za to inną znów razą usłyszeć puste niby słówko, któremu smutna towarzyszy powaga. Niewczesne wesołości, najczęściej bez przejścia się tam z najsurowszém ducha mieniają skupieniem—a tak nic bezwzględnie nie pozostaje sztuczném,

jakbądź nic także nie bywa bez sztuki. Słowem, że pomiędzy takiemi, którzy z rozmowy zdziałali kunszt nielada, będący niemal życia ich potrzebą—jeśli się zdarzy ktoś, który równie w uśmiechu jak w zasmuceniu nie zupełnie wydaje się być sobą—nikt mu tego za zagadkowość nie liczy—bowiem i drudzy nie lepsi od niego.

Wśród tych pierzchliwych obyczajów ducha idee też, na podobieństwo ruchomych ławic piaszczystych, rzadko zastajesz na miejscu w tym samym stanie w jakim je odbiegłeś. To już jedno wystarczyłoby do nadania wyróżniającej je cechy tym rozmowom z pozoru żadnego niemającym znaczenia, jakich nieraz w towarzystwach paryzkich bywaliśmy świadkami. W ogóle, polak dziwny ma talent do tej szermierki na paradoksy, w której tém silniej celuje, im więcej go ona zaprząta lub bawi. Wszakże niezrównane to usposobienie, które go nieustannie skłania zmyślenie z prawdą w taki sposób kojarzyć, jakby to miały być probierze tém pewniejsze im kunsztowniej skryte; ta jego werwa osobliwa, która przy lada sposobności marnotrawi tak wyuzdaną ilość skarbów rozumu, że zdaje się jak Gil Blas, dla opędzenia potrzeb dnia jednego, tyle używać przemysłu, ile go potrzebował król dla rządzenia Hiszpanią przez rok cały; otóż ta cała dziwna w sobie sztuka, powiadamy, sprawia zupełnie tak samo przykre wrażenie, jak owa cudowna zręczność kuglarzy indyjskich, rzucających i chwytających jednocześnie Bóg wie jak wiele noży, z których każdy przy pierwszej pomyłce stać się może niechybném śmierci narzędziem. W istocie, tyleż ona wyzywa hazardu ile i sama z siebie go wydaje; w pewnych bowiem stosunkach, cóż łatwiejszego, jak przy lada nieostrożności w niebezpieczeństwo kollizyi się wplątać, w której najmniej nawet spodziewany przeciwnik, znienacka słabą upatrzywszy stronę, łatwo zwycię-

zką może mieć przewagę. Tak jest, w warunkach podobnych, dramat wywinąć się może z najobojętniejszej rozmowy—stosunek bardzo utrudniony z najprzyjaźniejszego spotkania. Więc też jedno i drugie spowija tam niepewność jakaś mglista, niedozwalająca ściśle oznaczyć ich ich zarysów, utrwalić ich formy, dokładnie następstw ich obliczyć;—i to sprawia że są wszystkie niedotykalne jakieś, nieujęte, wskróś przepojone z jednej strony obawą, z drugiej uprzedzającą, pełną pomysłowości grzecznością, nawet objawianie sympatyi, która ci nieraz cięży przeczuciowo; słowem—rzec można—trzy w tym względzie górują pierwiastki, zaplatające się wzajemnie na podobieństwo niby dziewiczego warkocza—a temi są: uczucie dumy, potrzeby kochania, i jeszcze jedno, niedające się z całą ścisłością określić.

Z tego cośmy powiedzieli, wyobrazić sobie można: ile to sposobności do najniespodziańszych wzruszeń dostarczać muszą owe przypadkowe w mazurze zbliżenia, powlekające urokiem pociechy lada serca zachciankę, działające na roztargnienie wyobraźni, mimo czysto chwilowych, przelotnych, nieraz niepowrotnych w życiu spotkań. I nawet trudno żeby było inaczej w zetknięciu z temi kobietami, które same jedne do tego stopnia posiadają słodką tajemnicę sztuki swego tańca, że w innych krajach na śmieszność się tylko narazi, kto im w tém dorównać pragnie. Ale w czémże one równych sobie mają, te kobiety sławiańskie? Są między niemi i takie, których przymioty, których cnoty, pokrewnemi je robią wiekom wszystkim, krajom wszystkim; ale zjawiska to zarówno zawsze, jak i wszędzie, rzadkie. Ogólnie jednak odznacza je dziwnie urozmaicona samodzielność. Przez pół Almee, przez pół paryżanki—mając może we krwi tajemnicę odurzających wschodnich uroków, azyatyckiém ku

sobie wabią rozpieszczeniem—miękkiemi ruchy, których powłóczystość upaja, a razem błyskami w spojrzeniu niewysłowione wypowiadającém roskosze—sposobem obejścia, który tylko zachęca, ale nie ośmiela—wreszcie temi tysiącznemi zmianami postawy, z których każda zdaje się mieć właściwe sobie promieniowania magnetycznych prądów. Czarują one zarówno kibici swych niezrównaną giętkością, jak i przedziwném głosu cieniowaniem, jak i temi niespodzianemi nieraz zwrotami, które ci na myśl przywodzą spłoszoną gazellę. Do tego, bystre, wykształcone, pojętne, biegłe w popisywaniu się tém co umieją, dziwnie przenikliwe w poznawaniu ludzi, niemniej przesądne bywają i roskoszy chciwe, na podobieństwo tych zamykanych za kratą piękności, które w prostocie ducha w Mahometa wierzą. Szlachetne, nieulęknione, do najszczytniejszych zdolne uniesień, głęboko pobożne, tyleż niebezpieczeństwo co i miłość ceniące, nadewszystko uwielbiają chwałę. Bohaterstwo dziwnie je przyciąga. Spełnienie świetnego czynu zdaje się każdej godném choćby największej ofiary; a przecież ile to znowu takich, które pocichu zdala od wszelkiego blasku, spełniły najświętsze ofiary, nieznanym światu cnotom poświęcając życie! Ale jakbądź by się wyrzekły gwaru, jakbądźby się w domu zakopały, dopóki młodość im służy (a bywa ona tyle długa, ile wcześnie się poczyna)—ani troski życia powszedniego, ani skryte cierpienia szarpiące ich wrażliwe dusze nie są w stanie przytępić w nich tej cudownej żywości wrażeń, która się od nich drugim udziela, niby niechybne iskry elektrycznej działanie. Z natury i z położenia swego wstrzemięźliwe w mowie, z niesłychaną zręcznością używać umieją udania; ciekawie zgłębiają przeciwnika—same zaś starannie chowają się w sobie. Nie łatwo dobadasz się w nich tajemnicy. Ta ostatnia

bywa często tak szlachetném uczuciem, że raczej by szukać z niej chluby—ale nic z tego—nie wart jeszcze jesteś zostać jej powiernikiem. Ta to właśnie wyniosłość, którą okazują nieumiejącym dość biegle czytać w ich duszy, zapewnia im całą przewagę nad tymi których potrafiły osnuć swemi czarami, przyswoić sobie i wreszcie przywiązać duszą i ciałem; im też przewodzą aż do dnia próby, w którym pokazuje się znagła: że umieją też podzielić z nimi i losy najprzykrzejsze, zawsze równie wierne swym obowiązkom, równie czułe, zawsze niewyczerpanie poświęcone.

Wszystko to razem wzięte, stanowi ogół przymiotów, któremu oprzeć się niepodobna, któremu radnie rad hołdujesz, który tak kunsztownie streścić potrafił Balzac w przypisaniu *Modesty Mignon*. „Patrzcie—powiada on—oto córa ziemi obcej—miłością anioł—szatan zmiennością, wiarą niemowlę, doświadczeniem starzec, głową mąż, sercem dziewica, nadzieją olbrzym, boleściami matka, wieszcz poetycznemi zachwyty."

Hołdy polkom składane zawsze były dziwnie żarliwe, i inaczej nawet być nie mogło. Każda z nich bowiem posiada osobliwszy dar błyskania ci w oczy zwierciadłem, w którém migoce ideał, kuszący cię do pochwycenia go za jakąbądź cenę. W pogardzie mając marną uciechę przelotnego zwrócenia na siebie uwagi, lubią być zniewolone czcić tych, którzy im serce oddają. Romantyczne to usposobienie nastręcza im nieraz długo trwające wahanie się w wyborze pomiędzy pociągiem i wstrętem do świata; i nawet mało jest takich, któreby dziś lub jutro nie przeważyły postanowienia swego w stronę zupełnego z gwarném życiem rozbratu.

Tam tedy gdzie królują podobne kobiety, ileż gorączkowego słowa, ileż rozpaczy, nadziei, złudzeń, ileż nareszcie upojeń czarownych wypowiadać się musi podczas miarowych tego tańca uderzeń, z których każde niemal: to jakieś przytłumione w sercu uczucie, to znów dziarskie oświadczenie miłośne na pamięć przywodzi! Jest że choć jedna twarzyczka kobieca, któraby się tam raczej znużeniem zarumieniła, niż wzruszeniem słodkiém? Bo ileż się to węzłów tworzy niespodzianych wpośród tych długich sam na sam zagłuszanych gwarem tłumu, przy dźwiękach muzyki koniecznie przywodzącej na pamięć jakieś słowa, związane z jakiémś wspomnieniem!... Ile się to przytém zamieniło obietnic, ile pożegnań rozdzierających serce! Ile miłości niemających jutra zawiązało się i rozwiązało jednego i tego samego wieczora, pomiędzy tymi, którzy się po raz pierwszy spotkawszy, nigdy się już nie ujrzą więcej, i nigdy się też zapomnieć nie potrafią! Ile skłonności wzajemnych w tej tylko jednej objawić się mogło chwili, w której wymagania światowe raczej piękność podziwiają niż bogactwo, raczej dzielną powierzchowność, niż stopień towarzyski! Ile przeznaczeń, w żadnym innym razie niestojących z sobą na równi, jedynie zbliżyć się do siebie mogło w tych spotkaniach, błyskających to głośnemi tryumfy, to skrytemi uciechy! Ileżto rozmów rozpoczętych z niechcenia, prowadzonych z ironią, przerywanych wzruszeniem, chwytanych znowu z temi tysiącznemi półsłówkami, w których tyle celuje dowcip słowiański — wprost popchnęły do głębokiego z obu stron przywiązania! Ile się tam po drodze nagubiło zwierzeń, w tej wzajemnej zamianie dwóch otwartości, wyzwalających się chwilowo od przemocy narzuconych stosunkami wymagań! Ile tam słów kłamliwie uśmiechniętych, ile ślubów, żądz, życzeń, ile słodkich nadziei niedbale na wiatr rzuconych, wraz z chusteczką tancerki... których jednak nie pochwycił nikt niezręczny!

Powiedzieliśmy to—koniecznie znać potrzeba ziomków Szopena, aby módz z całą dokładnością pojąć Mazurów jego uczuciowe znaczenie; a nawet da się to zastosować i do wielu innych jego kompozycyi. Każda pełna jest tej mglistości przezroczej, przelewającej się nieustannie, niby płyn jakiś życiowy, bądź to po przez *Preludya*, bądź *Nokturna*, bądź *Improwizacye*, w których wszystkich czytasz rozliczne namiętności przejawy; czarodziejskie zalotności ogniki; nieświadome siebie przeczucia; kapryśne fantazye; zdmuchnięcia nagłe tych radości, co to już z zarodami śmierci na świat przyszły, podobne do róż wysilonych, których sam zapach zasmuca, bo wiemy że je lada wiatru tchnienie korony pozbawi; płonne światełka kłamliwych próżnostek, przypominające próchna w ciemności błyszczenie; uciechy bez dnia wczorajszego i bez jutra przydybane w przypadkowych spotkaniach; złudzenia, niewytłómaczone pociągi niewiadomo czemu kuszące, jak te owoce na pół dojrzałe, które jesz z przyjemnością, choć ci od nich cierpną zęby; niewyraźne uczucia zachcianki, nieznające ani początku swego, ani końca, które szlachetność wrodzona, zamiłowanie piękna, wykwintne wychowanie, poezyą powleka.

W tém, cośmy wyszczególnili dopiéro, równie jak i w znacznej części *Ballad*, *Etiud* i *Walców*, Szopen, rzec można, pamięć tak wiotkich, tak powietrznych, tak nieujętych wspomnień utrwalić potrafił, że te zdają się już niemal nic w sobie nie mieć ziemskiego, ale raczej do świata jakiegoś nadprzyrodzonego należeć—na równi niby z podsłyszanemi (jeśliby być mogło) Goplan,Dziwożon lub Rusałek rozmowami, które to istoty, jak sobie lud o nich baje, niemniej jak ludzie zawodom i goryczom życia są podległe.

Utwory te naszego mistrza, to powiewne bywają i od radości drżące, niby szelest skrzydeł lub zawroty taneczne jakiej złośliwej, wabiącej kochanka Boginki; to znów powłóczyste i połyskujące jak salamandry sukienka; to wreszcie głęboko rozdzierające, na podobieństwo kwilenia tych dusz wszczepionych w drewno, o których w Dziadach wspomina Mickiewicz. Indziej wypowiadają rozpacz tak czarną, tak nieutuloną, że zdaje ci się słyszeć ostateczne złamanie ducha, niby udręczenia Jakóba Foscari... W niektórych słyszeć mniemasz łkania stłumione; w innych, trzymanych wyłącznie w użyciu czarnych klawiszów, przebija niby dowcip kunsztownie drwiący, taki właśnie jakim się odznaczał sam Szopen, kiedy (podobnież górne tylko umysłu przebiegając klawisze) zdala od siebie trzymał wszelki żart powszedni, mało estetyczny, albo mniej sięgający głęboko.

W wielu jego *Mazurach* podziwiać można niezmierne urozmaicenie przedmiotów i wrażeń. Zdarzają się tam brzęki i tętenty—ale najczęściej cichy szmer krepy i gazy, szeleszczącej pod łagodném tańca tchnieniem, granie wachlarzy, migotanie złota i djamentów. Niektóre widocznie malują raźną, acz nie bez trwogi skrytej uciechę, niby w przeddzień czegoś groźnego; słyszysz tam przerywane westchnienia i szepty jakieś, wreszcie pożegnania ciche, wskróś nabrzmiałe wstrzymywanym płaczem. Inne zdają się wypowiadać śmiertelne jakieś obawy, udręczenia i niepewności, zalatujące niby dziwnym dreszczem, którego muzyka huczna stłumić nie jest w stanie. W innych, na uczynku niby dramat jakiś chwytasz: obawy, ciemne przeczucia serca, które walczy i nie pada, które zazdrość trawi, które się zwyciężoném czuje, i za to litością tylko płaci, nie racząc przeklinać. Indziej, wirowanie jakieś, ruchu szaleństwo, w pośród którego przelatuje

i wraca zdyszana melodja, chropawa na podobieństwo rzężenia kogoś, któremu serce z miłości pęka. Indziej ieszcze dalekie, niby rozgłośnie brzmiących, dźwięków odgłosy... Są i takie, w których rytm tak jest niejasny, tak wiotki w sobie, jak bywa uczucie, z jakim dwoje kochanków poglądają wspólnie w jednę, wschodzącą gdzieś gwiazdę.

Dnia pewnego troje nas było razem. Podczas kiedy grał Szopen, jedna z najświetniejszych kobiet paryzkich, słuchając go, doznała takiego wrażenia, jak kiedy się to błądzi w pośród zasianego grobowcami cmentarzyska wschodniego, które zdala obiecywało raczej cieniste tylko pełne wdzięku ustronie. Dumając nad tém, spytała go: zkąd też pochodzić może to pełne poszanowania uczucie, które bezwiednie obudza się w duszy na widok pomników, niemających z pamięcią serca nic wspólnego—a zarazem dla czego utwory jego tenże sam wpływ niepojęty zdają się wywierać? Zwyciężony tém zapytaniem nanabrzmiałém łzami, z otwartością, rzadką u artysty zazdrośnego tajemnic, które skrzętnie w najtajniejszym skarbcu serca swego schował—rzekł na to:—że kluczem do zrozumienia obu tych wpływów, mogłoby być jedynie słowo: *żałość*, słowo w żadnym innym języku nieznane, równie jak i w żadnym innym kraju nieznane jest uczucie, które ono określa. Wymawiając ten wyraz, powtarzał go sobie po kilka razy z rzędu—właśnie jakby już ucho jego dźwięku tego dziwnie chciwe było, Mawiał też nieraz, że jakbądźby go kiedy wesołym widziano (a zdarzało się to nawet dość często), nigdy przecież ani na chwilę od usposobienia tego z którém już na świat przyszedł, zupełnie wolnym nie bywa.

Żałość — wyraz to dziwnie szerokiego znaczenia, dziwniejszych jeszcze głębi pełen! Wyobrażając sobie

najrozmaitsze stopnie nastroju ducha, wypowiada on wszelkie zasmucenia i wszelkie skruchy towarzyszące nieuleczonej tęsknocie, która z pokorą przed niezbłaganém Opatrzności zrządzeniem blade pochyla czoło. Ale zarazem, stosownie do osobistości cierpiącego, bywa też cichém szemraniem, wybuchami wyrzutów, zrywaniem się do pomsty, i wreszcie groźbą huczącą w głębi serca—co wszystko razem składa się w jednę płonną gorycz, w której niema pierwiastków zbawiennego pokarmu.

To tedy uczucie smutne, w istocie bądź srebrzystemi bądź płomiennemi swemi odblaski, barwi koniecznie każdy utwór Szopena. Tak jest—nie są wolne od jego wpływu nawet najsłodsze jego marzenia, z rzędu tych w których Berlioz, ten genjusz Szekspirowski, pojmujący samych ostateczności mowę—podsłuchał *boskie przymilania*. Przymilania te są wyłącznym udziałem kobiet jego kraju. Niemi tam kołysany jesteś przez matkę, pieszczony przez siostry, czarowany przez kochankę—do czego kiedy od kolebki nawykłeś, czyż nie muszą ci się wydawać mdłemi lub grubemi innych kobiet zaloty? Wyłączna tych uroków umiejętność sprawia: że te cudne istoty same tylko ziścić mogą namiętne sny poetów, którzy jak Chateaubriand, chcąc coś odpowiedniego niemożebnym wymaganiom fantazyi swojej wynaleźć, nie znajdują „niewinnej choć upadłej Ewy—nieświadomej niczego a wiedzącej wszystko—dziewicy i kochanki zarazem (1)—jak tylko w osobie siedemnastoletniej polki—pół Odaliski, pół Walkiryi—urzeczywistnionej Sylfidy—nowoczesnej Flory (2)"—którą napotkać i nie módz być przez nią pokochanym, tak jest stra-

(1) Pamiętniki pozagrobowe, Tom I. Zaklęcie.
(2) Pamiętniki pozagrobowe, Tom III. Atala.

szno doprawdy! Bowiem *boskie* kobiety podobnej *przymilania* rozrzutne jednocześnie i skąpe, serce ci pochwyciwszy, wprawiają je w to senne kołysanie, jakiém buja po falach łódka, którejbyś odjął wiosła i rudel,

Szopen, w wykonywaniu swoich utworów, przedziwnie uwydatniać umiał ten właśnie rodzaj falowania melodyi, przelewając ją niby czółenko gibkie po nad grzmiącą tonią. W rękopismach oznaczał ten sposób grania nazwą *tempo rubato*, niby miarą czasu odkradaną, podrywaną a giętką, szorstką i omdlewającą zarazem—słowem chwiejną, na wzór płomienia podającego się powiewom. W następstwie zaniechał zamieszczać to objaśnienie, w przekonaniu: że przy jakiej takiej przenikliwości, każdy z łatwością sam już trafi do tej raz na zawsze ustanowionej przez niego nieregularnej reguły. Z tego wypada, że wszystkie bez wyjątku kompozycye Szopena, wykonywać należy owym kołysanym wybitnie trybem, którego tajemnicy nie podobna prawie pochwycić tym, którzy samego mistrza grającego często nie słyszeli. Owszem — uczniom nawet swoim z wielką pilnością sposób grania ten zalecał, a zwłaszcza też ziomkom, którym osobliwie życzył sobie go przekazać. Ci zaś, wrodzoną mając zdolność do chwytania wszystkiego co z uczuciem lub poezyą w związku być może, a jak w tym razie też same co i mistrz ich wyznając potrzeby, ze wszech miar położonego w nich zaufania godnemi się stali.

* * *

Tyle już powiedziawszy o Szopena dziełach—o tych nieśmiertelném uczuciem drgających, kędy to geniusz jego, mocując się z boleścią (owym to straszliwym rzeczywistości żywiołem, który pogodzić z niebem, sztuki jest zadaniem), walczył z nią—częściej zwycięzko, rzadziej zwyciężony; o tych jego dziełach, w które jak w łzawnicę wsączył wszystkie młodości swej wspomnienia, wszystkie serca oczarowania, wszystkie zachwyty swoich tęsknot i niewypowiedzianych uniesień; o tych nareszcie, w których przekraczając nazbyt ciasny dla niego i nazbyt bezbarwny zakres codziennych ducha potrzeb, w świat istot nadpowietrznych śmiało wkroczył;—z kolei należałoby o jego talencie wykonawczym bezstronne wyrzec zdanie, ale potrafięż się zdobyć na tę smutną odwagę? potrafięż na to najtkliwsze moje osobiste odtworzyć wspomnienia, ażeby całun ich dzisiejszy należnemi im barwy przystroić? Doprawdy—nie czuję w sobie nawet do tego siły bezpotrzebnej—bo istotnie cóżby na tém zyskać można? Podobnaż dać poznać tym, którzy Szopena nigdy nie słyszeli, ten gry jego wdzięk niewymowny a tak subtetny, jak bywa jedynie zapach werbeny? Roślina ta bowiem, jak on, w komnatach tylko niezbyt uczęszczanych oddychając swobodnie, w obec tłumnych zebrań, tuberozie raczej do popisu z odurzającą wonią zwycięzkie pozostawia pole.

Szopen, którego rodzaj talentu, styl, pomysły, czystość dykcyi, przypomina wiele Karola Nodier, z temi jego chochlikami Argylu, z temi Serafinami i Dyanami szepczącemi mu najtajniejsze swoje skargi, sny najbardziej nieokreślone—Szopen wiedział to dobrze: że nie jemu dano było działać na tłumy, które w tym razie porównaćby można do wielkiej ołowianej toni, przy lada ogniu topliwej, a niemniej trudnej do wmuszenia w formę, którąby jej myśl i uczucie mistrza narzucić chciały. Wiedział on że ocenionym stosownie mógł być tylko w tych zebraniach, na nieszczęście nazbyt szczupłych, ale za to

złożonych z ludzi, którym na jego skinienie, wraz z nim, wchodzić się godziło w owę świątynię, zdobną w drzwi z kości słoniowej, wspartą na słupach z dyamentu, nakrytą jednym wielkim kryształem grającym w światłach na tle mgły szarawej, jak te opale meksykańskie, to zda się zgasłe to znów płonące; kędy to rzecz każda jest cudowiskiem, niespodzianką szaloną, snem na jawie—w co wszystko Szopen uciekać lubił—w czém wszystkiém rad pozostawał. Ztąd nic dziwnego, że mi nareszcie powiedział raz w zaufaniu:—„Nie jestem ja wcale do dawania koncertów—wszelkie wystąpienie publiczne z nóg mię ścina—duszą mię te zbiorowe oddechy—drętwią te ciekawe wzroki—oniemiają te twarze całkiem mi obce;—ty co innego—tyś na to stworzony—bo choćbyś nawet nie rozczulił publiczności, to jeszcze masz ją czém w kark zwalić."

Znając to do siebie, jak najrzadziej też występował publicznie, i oprócz kilku koncertów w Wiedniu i Mnichowie danych jeszcze w roku 1831, to jest w początkach swojego zawodu, popisywał się tylko w Paryżu; nie mógł bowiem nawet odbywać podróży, a to z powodu swego zdrowia, które było tak słabe, że niekiedy miesiącami całemi zdawał się być blizki skonania. W czasie jedynej jaką zrobił wycieczki, to jest na południe, gdzie miał nadzieję nieco się podleczyć, zdarzały się tak rozpaczne chwile, że właściciele hotelów żądali już całkowitego zapłacenia łóżka i pościeli, które sądzili że trzeba będzie spalić, jako przedmioty mogące kogo zarazić najgwałtowniejszą chorobą piersiową.

Z tém wszystkiém skłonny jestem sądzić nie bez pewnej zasady, że wystąpienia publiczne do których Szopen tyle miał wstrętu, mniej jeszcze może zdrowie jego utrudzały, ile niezmierną drażliwość artysty. To dobrowolne

wyrzeczenie się rozgłośnych powodzeń, kryło w sobie, jak sądzę, pewien rodzaj wewnętrznej niechęci. Posiadał on w wysokim stopniu uczucie znakomitej swej wyższości; dla tego bardzo być może, że to co w zamian za to z zewnątrz mu dawano, nie wystarczało do uspokojenia go pewnością, że jest oceniony tak jak się należy. Poprostu powszechnego brakło mu poklasku, i pewnie pytał nieraz sam siebie, do jakiego też stopnia wyborowe w jakiém się lubił popisywać towarzystwo, objawami swoich uniesień, zdolne jest zastąpić entuzyazm tłumów, ktorych unikał. Nieliczni tylko rozumieli go wybrańcy—ale i ci, czy go też rozumieli jak na to zasługiwał? Pytania te zdawały się nurtować go, wyradzając w nim nawet nieznane mu co do genezy swojej niezadowolenie, łatwo go było nieraz niemal obrazić pochwałą Ponieważ nie dochodziły go grzmiące odgłosy tych, do których mniemał mieć prawo, znajdował przeto dotkliwemi dla swej miłości własnej pojedyńcze czyjeś uznania. Po przez grzeczne odpowiedzi, któremi je z siebie otrząsał niby pył niepotrzebny, bez wielkiego wysiłku spostrzedz było można, że nie tylko uważa się za nazbyt mało, ale nawet za zupełnie źle ocenionego, i że raczej wolałby żeby mu zupełnie dano pokój.

Swoją drogą, wielki znawca w przedmiocie żartu i sam nadzwyczaj dowcipny, umiał zawsze uniknąć śmieszności, i nikt mu nie zarzuci, żeby kiedy pozował na zapoznanie. Owszem, pod pokrywką zadowolenia, zawsze uprzejmości pełen, tak starannie ukrywał słabą swojej miłości własnej stronę, że nikt się prawie ani domyślał jej istnienia. Niemniej upieram się przy swojém, że raczej dla tego publicznie występować nie lubił (1), że nie chciał

(1) W istocie, lata całe na tém mu upływały, i zdaje mi się że koncert jego (w r. 1844) w sali Pleyela dany, nastąpił po przerwie przynajmniej lat dziesięciu.

szukać sposobności która mu całkowitego nie zapewniała uznania;—niżeli z powodu dziwnej słabości swego zdrowia, którego przecież ani liczném dawaniem lekcyi nie oszczędzał, ani usilném po nocach całych graniem.

Szkoda to wielka, że te wątpliwe dla artysty korzyści popisywania się jedynie w gronie wybraném, o wiele zmniejsza ograniczony zakres, a także nieodłączny od niego sposób okazywania mu sympatyi. Towarzyszący mu spokój niezachwiany, i w ogóle światową powłokę wyziębiającą jej objawy, porównaćby tu można do tych lodów owocowych, które są bardzo smaczne po dobrym obiedzie, ale obiadu w żaden sposób zastąpić nie mogą. Artysta z natchnieniem swojém samotném zerwawszy, jedynie tylko w zajęciu ogólném, przynajmniej znacznie szerszém, więcej niż chłodno uważném, bo wysoce rozbudzoném, w całości odzyskać je może. Na nic mu tu badawcze spojrzenia Areopagu, który się na to tylko zgromadził, żeby go sądzić. Musi on czuć: że słuchaczy swych porusza—że im uczucia własne przemocą narzuca—że ich wreszcie porywa za sobą w ten pęd ku nieskończoności; na podobieństwo przewodnika stad żórawi, za którym na znak dany wszyscy lecą, nie pytając nawet: Dokąd? bo są pewni że ich koniecznie ku szczęśliwym krainom rad nie rad powiedzie.

Z tém wszystkiém, gdyby nawet i inaczej było, gdyby Szopen przez cały ciąg zawodu swego tyle był podziwiany, a nawet oklaskiwany, ile na to zasługiwał,—gdyby, jak tylu innych, wszystkim po szerokim świecie narodom był znany—gdyby był zdobywał wawrzyny, dające namaszczenie Kapitolu każdemu miejscu które się staje stolicą uczczenia geniuszu i prawdziwej zasługi—jedném słowem, gdyby był tyle uznany przez krocie ile był przez setki—to i tak jeszcze nie zatrzymywalibyśmy się ani

na chwilę, aby w przeglądzie jego zawodu zdawać liczbę z tych krótko trwałych powodzeń.

Bo i cóż po bukietach, choćby najliczniejszych temu, którego skroń wyzywa wawrzyn nieśmiertelny? Przemijające sympatye, przelotne rozgłosy, zaledwie wzmianki są godne w obec mogiły, któréj się należy niepożyta sława. Przeznaczeniem jest utworów Szopena roznosić w kraje i w pokolenia najdalsze: te tysiączne radości, pociechy, dobroczynne wzruszenia, któremi prawdziwe dzieło sztuki do prawdziwie pojętnych umysłów przemawiać zwykło. Mowę ich rozumieją zawsze i wszędzie dusze cierpiące, łaknące i pragnące, upadające, lecz także podnoszące sie, bo wierzące. A swoją drogą mowa ta przez współczesnych nie zawsze bywa zrozumiana jak należy, cóż dopiéro jeśli unikała rozgłosu.

„Są różne wieńców rodzaje—tak mówi Gete—są nawet takie, które sobie wygodnie wijesz wśród przechadzki." Takie świeżością swoją i upajającym zapachem przez chwil kilka nęcić mogą; ale czyż je stawić się godzi obok tych, które sobie Szopen wysłużył usilną i przykładną pracą, poważném sztuki zamiłowaniem i wreszcie bolesném odczuciem wzruszeń, które tak cudownie wypowiedzieć umiał.

Otóż jeżeli on precz od siebie odrzucił skrzętne starania o te nazbyt łatwe wieńce, z których nie jeden z nas rad nie rad się pyszni; ponieważ to był nietylko człowiek czysty przed Bogiem, dobry dla bliźnich, szlachetny i współczujący, ale i na wskróś pełen najszlachetniejszego ze wszystkich przywiązania; ponieważ przemknął się tylko w pośród nas jako widziadło namaszczone wszystkiém co jest najświętszego;—z tych wszystkich tedy powodów, mocno się strzeżmy ubliżyć jego mogile. Precz od niej wszelkie kwiaty sztuczne! Precz wszelkie wieńce lekkie i łatwe! Owszem, sami się starajmy do-

równać wzrostem trumnie w której on spoczął. Od niego się nauczmy precz mieć od siebie wszystko co może nie być wyborem w dążeniach; od niego przykład bierzmy tych wysileń szlachetnych w pracy na pańskim zagonie, któremi głębsza tworzy się bróżda, niż wystarczy na dnia jednego potrzebę. Jego też torem odrzućmy od siebie wszystko co nie jest zdrowej sztuki godném, co nie obiecuje trwania, co nie ma w sobie choć cząstki przedwiecznej i niewcielonej prawdy, świecącej żeby oświecić;— słowem ku czci jego wspomnijmy sobie tę starą Dorów modlitwę, w której *o dobro drogą piękna* błagano. Zamiast tyle sobie zadawać trudu w celu przyciągnięcia jak największej liczby słuchaczy i podobania im się wszelką siłą, raczej jak Szopen, chciejmy koniecznie rozbrzmieć w sposób niebiański wszystko: cośmy uczuli, ukochali i przeboleli. Nareszcie, w świeżej go zawsze mając pamięci, raczej, w mistyczném sztuki państwie o godność się ubiegajmy, niżeli byśmy mieli bez poszanowania dla jutra, u teraźniejszości tylko tych wieńców łatwych żebrać, które raz w dłoni zgarnięte, w oczach niemal zapomnieniem więdną.

Nie ulega wątpliwości: że najzaszczytniejsze wawrzyny, jakie tylko artysta za żywota swego zbierać może, Szopenowi, przez znakomitości na równi z nim stojące, doręczane bywały; niemniej też pewném jest: że i entuzyazm jaki on obudzał do ściślejszego jeszcze wypadnie ograniczyć kółka, niż był nawet wybór towarzystwa, który na jego uczęszczał koncerta. Była to gromadka ludzi słynne po świecie mających imiona, którzy pokłonić mu się przychodzili, na podobieństwo niby królów państw przeróżnych, uczcić chcących wspólnego towarzysza. Ci to rzec można, wyłącznie należne składali mu uznanie; i tak być nawet musiało w tej Francyi, która, że tak powiemy, u siebie przyjmując, z właściwym sobie smakiem

wytwornym, stopień stanowiska społecznego każdemu z gości swoich wyznaczać nawykła.

Tak jest—istotnie najcelniejsze umysły Paryża w salonach Szopena napotykać było można. Objaśnić jednak pośpieszamy, że nie bywały to wcale takie oznaczone z góry artystów zebrania, jakie się wydarzają po niektórych kółkach światowych, kędy nawyknienie do sztywności form salonowych wszelką samoistność powiewem nudów swoich drętwi. Przeciwnie całkiem—swoboda myśli, dowcip, okazanie się sobą, nie przybywają nikomu na zamówienie na wytkniętą godzinę—a tém mniej prawdziwym artystom, z których każdy, mniej więcej, jak to wiemy, czémś, sobie tylko właściwém *opętany* bywa, z czego dopiéro przy nastroju stosownym otrząsnąć się może, ażeby dobył z siebie owe tysiączne ognie będące podziwem profanów, którzy co prawda widzą w tém raczej ognie sztuczne bawiące tylko zmysły, podczas kiedy w nich tkwi nieodłączna cząstka każdego ze stawających do popisu. Na nieszczęście, najzupełniejsze z siebie się wyswobodzenie, równie u posłów jak i artystów, bardzo też przypadkowo się wydarza. Lecz są i tacy, hojniej nad drugich w tém uposażeni, którzy posiadają dar: bądź tyle być panami siebie, że im niejako lżej z pozoru ciężar własnych wyśli nosić, i jeszcze śmiać się z towarzyszami ze swych przygód po drodze—bądź nawet w istocie pogodę duszy mieć wrodzoną, a ta dobroczynny swój wpływ dokoła szerząc, drugich do tyla ze zdrętwienia budzi, że ci nareszcie samych siebie niepoznają, cóż dopiéro kto zna ich troski, zaprzątnienia i wstręt do świata!...

Szopen, właściwie mówiąc, ani do tych, ani do tamtych nie należał wyłącznie. Ale posiadał ten w kraju jego wrodzony wszystkim wdzięk uprzejmości, który do tego stopnia gospodarza na usługi gościom swym oddaje.

że nawet wyzuwa go ze wszelkiej osobistej woli, robiąc ją tylko posłuszém narzędziem przekonań i upodobań tych, którym jest rad jak to mówią. To też lubiono się u niego schadzać—było tam bowiem wszystkim dobrze, i każdemu jakby u siebie; i rzec można: każdy tam był panem, z wyjątkiem samego gospodarza, który był jeden na rozkazy wszystkich. Podobna hojność bez granic w ziemi słowiańskiej, poczynając od najbiedniejszego wieśniaka, przyjmującego u wrót swej omszałej strzechy, aż do największego pana, podejmującego w kapiącym od złota dworze, znajdziesz wymawiającą się jeszcze skromnie przysłowiem: „czém chata bogata, tém rada." Zarazem zapewnieniu temu towarzyszy zwykle wdzięk ujmujący, połączony z powagą, właściwą starym w tych krajach obyczajów tradycyom.

Ten tylko kto te ostatnie w całej ich zna rozciągłości, dokładnie ocenić zdoła wszystkie powaby tych posiedzeń u Szopena, tak pełnych poufnego wylania, porywającej swobody i udzielającej się każdemu wesołości, że w nich ani niesmaku nie czułeś, ani tęsknoty za czémś lepszém, lub choćby żalu do samego siebie. Jakbądź godzi się o Szopenie powiedzieć: że raczej unikał towarzystwa niżeli go szukał, niemniej rzeczą jest pewną: że bywał dziwnie uprzejmym, ilekroć przemocą w samotnię jego wtargnięto. Wtedy to, pozornie nie zaprzątając się niby nikim, z osobna każdemu umiał narzucić to, co mu najprzyjemniejszém być mogło, zarazem wszystkich we wspólnej ugoszczenia równości między sobą łącząc w jedno.

Z tém wszystkiém, jak to tylko co powiedzieliśmy, drzwi jego, równie jak fortepian, istotnie przemocą nieraz zdobywać przychodziło. Robili to jednak ci tylko, z którymi w równej mierze uczuć przyjaznych wymiana, niezaprzeczone do tego nadawała prawo. Żyją pewnie jeszcze tacy, którzy sobie przypomną pierwszy w tym rodzaju na przekór jego woli wieczór u niego przy Chaussée d'Antin.

Salonik któryśmy wtedy, pamiętam, zdobyli, oświetlony był tylko od strony fortepianu—tego fortepianu Pleyela, który on przekładał nad inne, z powodu srebrzystego, nieco przytłumionego dźwięku, a także dziwnej łatwości w dotknięciu. Ten wzgląd ostatni osobliwie przypadał do rodzaju gry Szopena, przypominającej chwilami działanie harmoniki szklanej, której budowę delikatną, a dalej sztukę grania na niej, Niemcy stare do tak wysokiej umiały doprowadzić doskonałości.

Pokój tedy w którym siedzieliśmy, z trzech stron pogrążony w cieniu, zdawał się wcale nie mieć krańców i przypierać niejako do tajemniczych zaświatowych przestrzeni. Tu i ówdzie w półcieniu przebłyskiwał sprzęt jaki niewyraźnie zarysowany, niby widziadło przychodzące posłuchać dźwięków, które je z nicości do siebie przyzwały. Światło u fortepianu skupione na posadzkę padało, po niej się ślizgając, aż ku przygasającym na kominku błyskom, zkąd płomyki niekiedy pryskały, niby fale jaskrawe a krępe, na podobieństwo gnomów, zaciekawionych dobrze im znaną mową. Jedyny portret pianisty jak Szopen i serdecznego jego przyjaciela, zdawał się tam raz na zawsze zaproszony na tę wspaniałą ucztę przypływu i odpływu dźwięków, to jęczących, to huczących, to szemrzących, to wreszcie odbiegających gdzieś daleko, w pośród tej toni instrumentu, po nad którym był zwieszony. Błyszcząca zaś zwierciadła powierzchnia, dziwnie rozumnym w sobie trafem, powtarzała nam raz jeszcze w odbiciu tę twarz piękną bujnemi otoczoną puklami, którą ku czci zwolenników jednej z największych swego czasu pióra znakomitości, tyle już razy pendzel i rylec uwieczniał.

W około fortepianu, w świetle najżywszém, błyszczała nie jedna głowa, zasłużonego po świecie używająca rozgłosu. Bywał tam Hejne, najsmutniejszy może humorysta, słuchający z całém zajęciem duchowego współziomka, tych Szopenowskich opowiadań o pobycie w tajemniczych krajach, które i on nawiedzać lubił, których znał nawet najcudowniejsze ustronia. Rozumieli się oni wybornie, to półsłówkami, to półdźwiękami z sobą mówiąc; i zaprawdę słyszano nieraz: jak muzyk dziwne dawał wyjaśnienia robionym z cicha zapytaniom poety, we względzie owych nikomu z nas nieznanych krajobrazów, a nawet co się dotyczy niejakiej „śmiejącej się rusałki" (1), o którą go badał szczegółowo, chcąc też wiedzieć: „czy ona zawsze z równą zalotnością otula srebrzystą zasłoną szmaragdowe swoje sploty?" Wtajemniczony nawet w ploteczki i w miłostki tych miejsc czarownych, życzył też sobie mieć wiadomość „czy jeszcze i dziś ów stary bożek rzeczny z długą białą brodą naprzykrza się psotnej Ondynie śmiesznemi swemi zapały?" Do najwyższego stopnia ciekawy chwalebnych dziwów, które się dzieją *tam—tam oto*—pytał znowu natarczywie „czy róże po dawnemu równie wspaniale płoną? czy, przy świetle miesiąca, drzewa równie harmonicznie śpiewają jak to dotąd było?" Na to wszystko odpowiadał mu Szopen bardzo szczegółowo, poczém, kiedy się już do syta nagadali, czas jakiś milczeli smutnie, zdjęci tą wspólną do kraju tęsknotą, którą Hejne wydawał się być aż do szpiku strutym. W tym względzie lubił się on porównywać do owego kapitana z hollenderskiej legendy o *okręcie—widmie*, wiecznie kołysanego na chłodnych bałwanach, „wiecznie utęsknionego

(1) Hejne, Salon, Chopin.

do swoich tulipanów, piankowych fajek, szorowanych ulic, korzeni i filiżanek z porcelany domowego wyrobu... Amsterdam! Amsterdam! dajcie nam tu Amsterdam!—tak woła osada owego okrętu, podczas kiedy wicher wyje wpośród lin i masztów, podczas kiedy burza zmusza ich tańczyć po wzdętym odmęcie." „Pojmuję cały pożytek wściekliznу owego kapitana—tak mówił nieraz Hejne—kiedy nareszcie zawołał: O! niech tylko raz się dostanę do Amsterdamu, to słowo daję—żeby mi tam przyszło być po prostu rogatką miejską; za nic go już nie opuszczę. Biedny Van der Deken!"

Hejne znał nawylot wszystkie a wszystkieutrapienia tego Van der Dekena, w którego niepożyty zębem czasu statek, ocean widocznie szpony zapuścił drapieżne, i temi trzymał go bez miłosierdzia niby na kotwicy, od której ani podobna było chcieć namacać łańcuchy. Kiedy był w stosownem usposobieniu, wypowiadał nam nieraz: to boleści, to otuchy, to rozpacze, to męczarnie, to zwątpienia nieszczęśliwej osady owego okrętu,—bo i on żeglował także na jego deskach przeklętych, zwabiony tam przez zakochaną Ondynę, od której uciekł w sposób równie cudowny, jak i do niej przystał. A jednak ilekroć w jej pałacu perłowym, wśród koralowego lasu, doznawał gorszych niż kiedy opryskliwości, goryczy i szyderstwa napadów—ona, bywało, coraz nowe, coraz cudowniejsze wyprawia mu dziwa,—ale wszystko napróżno, bo on zawsze cóś takiego marzył, na co zbytku całego jej królestwa jeszcze stać nie było.

Na tej niczém niezdartej nawie, i bieguny on zwiedzał, kędy zorza w nieskończone noce tamtejsze po olbrzymich, wiekuistych lodów soplach, tęczowe barwy rozwiesza,—i też zwrotniki z ich zorzą zwierzyńcową, i równik z jego płomiennem słońcem, przepalającém aż do szpiku

kości. Na niej on i długości przebywał, kędy życie jest uciśnione, i takie, w których pożerane bywa; przez drogę zarazem ucząc się poznawać owe niepoliczone cudowiska niebieskie, stanowiące jedyną rozrywkę żeglarzy, którzy nigdy nie dopłyną do żadnego portu. Wsparty na jej dziobie oddawna rudla pozbawionym, oglądał on i niedźwiedzice obie wspaniale w oś północną wbite, i iskrzący krzyż południowy, po za którym, równie na niebie jak na ziemi zaczyna się pustynia, to jest w górze nad głową przestrzeń gwiazd pozbawiona, w około ciebie morze bezbrzeżne. Długo on odprowadzał wzrokiem: to smugi gwiazd spadających, które są lazurów świetlikami—to niezbadane drogi komet, straszących smutną w osamotnieniu swoim groźbą—to spoglądał w źrenicę wrytą w Aldebarana, zdającego się nieustannie mieć na oku naszę kulę, do której przecież zbliżyć się nie śmie—to wreszcie z promienistemi współplanety razem w około słońca biegał, bowiem wabiły go ku sobie przyjazną i pociechy pełną światłością, niby rodzajem zagadkowej obietnicy...

Wszystkie te dziwy Hejne własnemi oczami oglądał, i to ze stosownemi co każdy południk nowy zmianami, a nawet ileż jeszcze więcej daleko, o czém prawił arcy chętnie, byle go słuchać było. Więc szalone cwałowania Herodyady — więc przyjęcia na dworze króla Olch — więc przeglądy Hesperyjskich ogrodów. A wszystko to z pomocą to tej, to owej wróżki zakochanej, która przysięgła sobie, póki życia, nie dać go nękać złej doli—ale owszem, jeśliby można, oczarować i olśnić i upoić roskoszą...

Wieczoru, o którym mówimy, obok Hejnego, siedział też Meyerbeer;—po tém wszystkiém co o tym mistrzu nieraz już mówiono, podobnaż jeszcze dodać co więcej? Harmonista na sposób tych, co Cyklopejskie niegdyś stawiali budowle, niemniej nie jednę roskoszną spędził chwilę z wielką sobie rozpatrując troskliwością arabeski subtelne, któremi Szopen myśl swoję, niby w przezroczą tkankę z koronek, spowijał.

Tuż obok siedział Adolf Nourrit, wielce szlachetny artysta, razem namiętny i ascetyczny, katolik szczery i niemal surowy, który po średniowiecznemu przyszłość dla świata marzył, który w ostatnich latach swego życia nie na każdej już scenie występować raczył, ale pomiędzy niemi troskliwy robił wybór stosownie do tego: jak która sztuki jego ideałowi odpowiednią mu się zdawała. Sztuce swej bowiem z czcią przeczystą służył, widząc w niej święty przybytek, którego „piękność — jak mówił — blaskiem prawdy była." Naonczas zwolna już melancholią był trawiony. Na czole jego w zmarszczkach przedwczesnych, coraz wyraźniej zarysowywał się ów cień złowieszczy, który w danej chwili, ostatecznym rozpaczy wybuchem, po niewczasie miał dowieść ludziom: jak dalece, przy całej swej zabiegłości, nieudolni są w przedmiocie czytania w sercu bliźniego.

Był tam i Hiller. Rodzaj talentu spokrewniał go z Szopenem, ktoremu też najserdeczniejszą przyjaźń był poślubił. U niego również częstośmy bywali. W owym czasie, zanim wytworzył wielkie swoje dzieła, z których do najcelniejszych zaliczam oratoryum, noszące nazwę *Zburzenia Jerozolimy*, pisał dla fortepianu kompozycye drobniejsze; ale już i z tych niektóre, jak mianowicie *Etiudy*, będące silnie zarysowanemi szkicami, przypominają mimowolnie owe studya krajobrazów, kędy to mistrz w około jednego, szeroko traktowanego drzewka, czasem tylko nawet gałązki, cały poemat świateł i cieni zgromadza.

Siedział tu i Eugeniusz Delacroix, milczący i zadumany w obec widziadeł, których tam tak było pełno

w powietrzu, że mniemałeś nareszcie słyszeć ich szelesty. Być może zapytywał sam siebie: jakiej też paletty, jakich pendzli i płótna użyje, by je utrwalić życiem swojej sztuki? Mniemał zapewne: że co do płótna, nie obędzie się tu bez Arachny—pendzle czyż mogą być inne jak z rzęs rusałki? a na palecie, czyż nie wypadnie użyć tęczowych tumanów? To wszystko myśląc, uśmiechał się własnej przenikliwości i tym wrażeniom które ją pobudzały, mimo swej woli lgnąc do nich, właśnie jak się nieraz wydarza duszom artystycznym, gdy napotkają żywioł stanowiący z niemi przeciwieństwo.

Z nas wszystkich, najbliższy grobu Niemcewicz stary, słuchał swych *śpiewów*, które Szopen mistrzowskiemi rytmu zmianami, obrazowością jędrną, dramatyzowaniem szczegółów które budziło do życia przeszłość zamierzchłą, z poezyi żywcem przenosił w muzykę—w tę swoję improwizacyjną, intuicyi pełną, a także prawdy przedziwnej, która dreszczem przeszywała, westchnienie wyrywała z piersi, łzy do oczu pędziła. Zdala od wszystkich, ponury i milczący, Mickiewicz zarysował się w półcieniach, podobny do nieruchomego posągu. Owemu Dantemu północy „zawsze wydawała się gorzką w smaku sól obca—wiecznie twardym do przestępowania próg cudzy..."

Zatopiona w fotelu, o konsolę wsparta, siedziała tam wreszcie pani Sand, bacznie zaciekawiona i wdzięcznie zhołdowana. Na całe nasze zebranie biły niby od niej odblaski tego jej płomiennego daru, który niewątpliwie jest jedynie wybranych udziałem;—polega bowiem na odgadywaniu piękna we wszystkich jego objawach, w przyrodzie jak w sztuce—i zaprawdę jest on zapewne tym *drugim wzrokiem*, który od wieków lud prosty natchnionym przyznawał kobietom. Istotnie, potrzeba chyba do niego pewnej magii w spojrzeniu, pod której działaniem

łuszczy się zewsząd i precz odpada gruba formy powłoka, a za to widomie występuje dusza, ów, że tak powiem, ideał wcielony, który sztukmistrz: bądź w strumienie dźwięków zaklął, bądź w rysunek i barwy, bądź w marmur, bądź w architektoniczne linie, bądź wreszcie w mowę bogów, która jest rytmiczna. Zdolność to mało w ogóle pojęta, ale jej objawy śmiało wyrocznemi nazywać się godzi,—gdyż ona sama z siebie: równie wiedzę przyszłości, jak i świadomość rzeczy przyszłych czerpie—tam bowiem gdzie każdy człek zwyczajny zmuszony jest mozolnie liczne gromadzić zasoby, ona bez wysiłku najtrudniejsze zadania życiowe jednym myśli rzutem ogarnia, a na to nie tyle jej potrzeba w nauk rozlicznych zagłębiać się tajniki, ile raczej poufale z przyrodą obcować.

W owém to nawyknieniu do tych sam na sam ze stworzeniem (co bywa wyłącznym powabem i wielkością samotnego na wsi pobytu), najłatwiej podobno chwytać te tysiączne harmonie zarysów, dźwięków, świateł, odgłosów grzmiących i miłośnego szczebiotu, grozy i roskoszy—co wszystko razem wzięte, odważnie a cierpliwie, aż do głębi zbadane, daje w następstwie klucz do pojęcia: to niepoliczonych stosunków pokrewieństwa pomiędzy zmysłami a uczuciem, to znowu związków łączących pozorne sprzeczności, poczynając od antytez zrośniętych z sobą jak bracia Syamscy, aż do tych przepaści nieprzebytych, które wąziutką tylko rozpadliną przedzielają od siebie rzeczy mające być zbliżone bez spojenia, podobne sobie bez zlania się w jedno. Nasłuchiwać zawczasu, jak to Sand robiła, tych cichych podszeptów przyrody, któremi ona wybranych w obrzędy swoje wtajemnicza,—jest co najmniej poety udziałem; ale nauczyć się od niej przenikać to nawet, co człowiek w sobie dopiéro wzorem jej rozmarzywszy się, wytwarza,—na to

jeszcze i kobietą być trzeba—bo tu bez domyślności ser ca sam geniusz tylko wystarczyć nie może.

Wymieniwszy tę, której osobistość potężna i umysł błyskawiczny, tak silne na wątły nastrój Szopena wywierał działanie, że porównać by je można do owych nieodzownych nadejść danej chwili, w której wino szlachetne już samém mocowaniem się z sobą zbyt kruche statki rozsadza,—nie ma co więcej wywoływać kogo z pośród tego złotego tła przeszłości, w którém tyle topnieje niewyraźnych obrazów, nieokreślonych skłonności, wiar chwiejnych, niepewnych zamiarów—kędy każdy z nas z łatwością mógłby cóś z siebie rozpoznać, cóś także z uczuć własnych wydanych na świat bez nadziei życia. Tak jest niestety, z zajęć, z dążności, z żądz wystarczających na wypełnienie całej epoki, która tyle widziała razem zebranych dusz wzniosłych i świetnych umysłów, co też w istocie miało w sobie dość silne pierwiastki życiowe, ażeby nie dać się śmierci, owiewającej tchem zatrutym ideę każdą, uczucie każde, równie jak i każdą istotę kołysaną dopiéro do przyszłego rozwicia? Natomiast, ileż to rzeczy, ile myśli ziemskich, do których prędzej czy później przystosować by można te niezrównane w smutku swoim słowa: „Szczęśliwy ten, który umarł—szczęśliwszy, który nigdy nie żył!" W istocie, z tylu uczuć które tak silnie pobudzały do bicia tyle serc szlachetnych, pozostałoż choć jedno, któreby nie zasłużyło na tę klątwę wyroczną? Albo przynajmniej, gdyby je z grobu wywołać, aby jak Gustaw samobójca w Dziadach, życie swe na nowo odżyły, i bole swe po raz drugi odcierpiały—to czybyśmy je ujrzeli: bez gwoździ w rękach i w nogach, bez przebitego serca, lub choćby ran i kalectw, które krwią broczą ich pierwotną piękność, które kalają białość ich anielskiej szaty? I wpośród smutnych tych widziadeł,

znalazłyżby się choć tyle jeszcze ze względu na dawną swoję świętość mające nad nami władzy, abyśmy w chwili obecnej, widząc je zwiędłe i sponiewierane, przez pamięć chociaż że nam były szczęściem lub męczarnią, jak Piotr Zaprzaniec się ich nie wyrzekli? I jakiegożby to przewrotu w porządku odwiecznym, jakiego by to zaklęcia potrzeba, aby je znów do życia powołać, a następnie przed sąd zapozwać, aby liczbę zdały: jak też dużo sprawiły złego czy dobrego w tym świecie serc, w którym tak gościnnie dano im przytułek, i także w tym, w którym te serca panami były, jakbądź nie one go upiększyły, wstrząsnęły, opromieniły, lub zburzyły; tylko niezależne od nich zrządzenia jakieś szczególne!...

Lecz jeśli wpośród ludzi, którzy się w pomienionym salonie schadzali, z których każdy zwracał ku sobie dusz nie mało, w sumieniu zaś swojém bodziec miał odpowiedzialności nie jednej,—jeśli wpośród nich wszystkich był taki, który zapomnieniu na łup nie wydał przeczystego uroku tylu świetnych wokoło niego skupionych promieni—który pamięci swej żadną silniejszą czcią nie obłąkawszy, sztuce nieskalane tylko dziedzictwo najgłębszych skupień ducha i najcudowniejszych zachwytów przekazał,—to w takim uznajmy koniecznie jednego z tych powołanych, o których lud sobie wierzy prostaczy, że są wśród złości tego świata *dobrymi duchami*. Istotom podobnym, dobroczynne na drugich przypisując wpływy i nawet wyższość bezwzględną nad tłumy, dziwnie się w tém lud ten spotyka z jednym z wielkich poetów włoskich, który o geniuszu mówiąc, dał mu na czoło „wyraźniejszą nad drugich cechę Boskości." A przecież, w pośród tych wszystkich niebieskiém naznaczonych piętnem, jeśliby nam wybór serca spełnić przyszło, tedy bez wahania tych przed drugimi uczcić wypadnie, którzy jak

Szopen wyższości swojej na to tylko użyli, aby najszlachetniejszym uczuciom życie dać i mowę.

* * *

Wrodzona ludziom ciekawość nieodłączną bywa od zbierania szczegółów do życiorysu geniuszów, którzy się poświęcili na to, aby w dziełach sztuki utrwalić wrażenia, tém właśnie podbijające tłumy, że na nie zwyczajnej mowie zdaje się całkiem wyrażenia braknąć. W podziwie swym, zaprzątnienie to, skłonném jest wzruszenia ztąd odbierane koniecznie z imionami geniuszów owych kojarzyć, i z nich odrębne sobie symbole wytwarzać; powszechne to bowiem mniemanie: że ci którzy tak po mistrzowsku dane wypowiadać umieją uczucia, wszelkim już innym całkiem są obcy. Cokolwiekbądź, z tém uprzedzeniem korzystném staje nieraz w sprzeczności istotna prawda psychicznych w artyście pobudek,—a w każdym razie, dobrze jest zestawić objawy życia jego wewnętrznego, z tém, co od siebie ludziom codziennie dawał, lub od nich odbierał. Kiedy w utworach jego czujemy: jak wykwintnie wybrać umiał najponętniejsze dla serca słodycze; jak biegle odgadywał, to nawet co tak starannie przed okiem świata ukryć potrafi zraniona duma, trwożliwa skromność, gorzkie zniechęcenie; lub taką wypowiadał miłość: o jakiej młodzian marzy, jaką się później płonnym żalem ściga; kiedy się widzi: jak geniusz jego najwznioślejsze góruje położenia, spokojnym przenosi lotem najtrudniejsze ludzkiej doli przejścia, w zaplątanych węzłach wypadków od razu natrafia nić rozwiązującą je pociągnięciem jedném, orlim lotem wzbija się ponad wszystkie wielkości i przewroty, aż ku szczytom, których już ani to, ani tamto nie dosięga; kiedy się widzi: że on jest w posiadaniu tajemnicy równie najtkliwszych modulacyi niewieściej

słabości, jak i najdostojniejszych męzkiej siły uniesień;— to jak się tu nie spytać nareszcie: czy to cudowne jasnowidztwo jest szczerej wiary w uczucia te wypływem, czy też tylko przebiegłą myśli abstrakcyą, albo i nieraz igraszką dowcipu?

Dla tego rzecz tę zblizka badasz—i nawet dziwić się trudno: w czém też ci ludzie, tak zakochani w swém pięknie, od drugich życiem swém się różnili? Jak też sobie radziła ich wielka godność poetycka, w stosunkach z powszedniemi sprawy? W czém też wzruszenia ich miłośne trwalsze być mogły, a nadewszystko od zawodów i goryczy wolne? Pytasz dalej: czy ci, co tak szlachetném nieraz unosili się oburzeniem, sami od wszelkiego zarzutu zawsze wolni byli? Czy nieskazitelność zalecając, sami tymczasem z sumieniem własném rachunku jakiego do załatwienia nie mieli? Czy ci, którzy bohaterstwo głosili, sami nie byli trwożnego ducha? Czy ci którzy przed siłą woli czołem bili, ze słabością własną nie wchodzili w układy?

Wielu bardzo całą możność swą w to wkłada, ażeby zbadać umowy polubowne, jakie z przeróżnych względów sami z sobą porobić mogli, ci których jest udziałem, zaszczytnie sztuce służąc, podtrzymywać nas w wierze i przywiązaniu do rzeczy wzniosłych i pięknych. Wtedy nie zawsze w rachunek się bierze: że też i oni, jak wielu drugich, z powodu warunków swego położenia w świecie, lub nawet braku niezależności, mogli w tym względzie nie mieć wyboru. Więc też, jeśli się tu i ówdzie, skrzętnie przewidywane zboczenie u nich dopatrzy, ileż pośpiechu w stanowczym o nich sądzie! Najidealniejsze wytwory poety—toż tylko sztucznego nastroju owoce! dobre chęci nawet w niwecz idą—bo gdzie w nich zgodność z czynami? Z jakąż radością okrutną

wytykane są przykłady podobne trwożnym i niepewnym siebie duszom, w których wrodzone popędy lub nabyte przekonania, przy coraz widoczniej słabnącej sile, pasują się jeszcze z przyjęciem narzucanego im położenia. Skutkiem tego, duchy te, bądź to pod wpływem niezwalczonego przymusu, bądź tysiącznych na każdém zejściu z drogi pokus, jakież to zniechęcenie ogarnia jeśli pomyślą: że serca najmocniej nawet miłością piękna rozgorzałe, najbystrzej wtajemniczone we wszelkie drażliwości odcienia, najdelikatniej w myśleniu poważném wyćwiczone,—niemniej na zewnątrz bóstw się swoich zaparły. Tak jest—w obec tych na uczynku schwytanych sprzeczności, jak się tu od smutnego ochronić zwątpienia? A jeszcze wtedy, przychodzą z boleści owych szydzić tacy, którzy powtarzać zwykli: że „poezya, to jest tylko coś takiego co *być mogło*"—czém jej bluźnią w sposób gorszący a najzupełniej przewrotny; ponieważ poezya nie jest bynajmniej cieniem tylko naszej wyobraźni, rzuconym przesadnie na równię pochyłą niepodobieństwa. „Poezya i rzeczywistość—Gete to mówi — nie są bynajmniej dwóma niezgodnemi z sobą żywiołami, wiecznie się tylko potrącającemi, a nigdy nie przenikającemi wzajemnie;"—owszem, tenże sam geniusz, o współczesnym sobie poecie mówiąc, użył o nim wyrażenia: „że on równie poetyzował życie, jak i sam żył poezyą—er lebte dichtend, und dichtete lebend,"—bowiem Gete zanadto sam był poetą, aby nie wiedział: że poezya tém tylko istnieje, że się wiekuiście do rzeczywistości poczuwa w najszlachetniejszych serca ludzkiego popędach.

Tak jak się to mówić zwykło o szlachectwie—równie i geniusz *obowiązkiem* bywa (1). Jeżeli przykład

(1) Powiedziałem to o Paganinim po jego zgonie.

nieugiętej niezawisłości lub zimnej surowości życia, u ludzi spokojnie myślących, podziw niekiedy obudza—to znowu, na cóż się zapatrywać będą usposobienia namiętne i ruchliwe, dla których życie bezbarwne wstrętném jest, jako pozbawione trawiącej gorączki: bądź sławy, bądź zaszczytów, bądź uciech za jakąkolwiek cenę? Usposobienia podobne chętnie się od czci uznanych powag wyzwalają. Rade są nawet właściwość sądu ich uchylać. Oskarżają je: że sobie świat zagarnęły na wyłączny suchych wymagań swych użytek—że nazbyt dowolnie rozporządzają skutkami przyczyn; których nawet pojąć nie są zdolne—że prawa wydają w państwie, które nie jest wyłączną ich własnością. Wtedy, ku innej stronie pytające zwracają spójrzenia, badając tych, którzy do syta we wrzącém boleści źródle pragnienie gasili palące—w tém źródle, co to jak wiemy z pod szczytów stromych wytryska, na których dusza gniazdo sobie usłała. Idąc tam, obojętnie mijają milczące powagi tych, którzy dobro, bez uniesień dla piękna, spełniają. Młodość ruchliwa czyż może mieć cierpliwość zastanawiać się nad powodami ich spokoju, albo pobudki ich trzeźwości zbłębiać? Zbyt są pośpieszne jej serca uderzenia, aby mieć mogła jasnowidztwo tych skrytych cierpień, tych tajemniczych wysileń, tych walk samotnych, które ostatecznie w przystań spokoju prowadzą dobrej woli człowieka. Dla dusz namiętnościami targanych, cicha sprawiedliwego prostota, lub bohaterski mędrca uśmiech, najczęściej niezrozumiałą jest mową. Niezbędny im jest entuzyazm, koniecznem wzruszenie. Od obrazu żądają mowy, od przenośni przekonania, we łzach dowodu szukają, i nad trudy rozumowania przenoszą zachwytu wyniki. Z ciekawością się tedy chciwie ku tym posłom i artystom zwracają, którzy ich, młodzieńczych tych uniesień odczuciem, nieprzeparcie pociągnąć za sobą

potrafili. Ich to wyłącznie rozpytują w tym względzie o ostatnie słowo.

W chwilach złej doli, kiedy wśród grzmiącej w około burzy, wszelkie szlachetne popędy i tęsknoty stają się nazbyt ciężkim skarbem, zdolnym okręt na zgubę narazić, jeśli się ich nie rzuci z pokładu w otchłań zapomnienia,—któż myślą nie wywołał kiedy którego z dostojnych cieni, zapytując go: jakby też on sobie w podobnych radził okolicznościach, przypuszczając że czuł tak samo, i do tegoż co my dążył celu? Tu dopiéro staranny przychodzi obrachunek z jego postąpienia w danej chwili: co też mogło być u niego zboczeniem wtedy dobrowolném; ustępstwem mniemanej potrzebie, a co tylko właściwością jego usposobienia? Wtedy skradając się potwarz także przybywa na nasze usługi. Ona to chciwie zgarnia w jednę kupę: słabostki, błędy opuszczenia lub zaniedbania, ze strony tych którzy to wszystko karcili u drugich,—i można być pewnym: że niczemu nie przebaczy. Pastwiąc się nad swoim łupem, zagrabia sobie prawo wzgardy względem wszelkiego natchnienia, które wprost między błahostki liczy, nie przyznając mu władzy kierowania w czémkolwiek czynnościami, postanowieniami, zgodą lub odmową. Niestety! potwarz bierze na siebie nieraz i ziarna dziejów oczyszczanie! Wśród zboża wtedy starannie kąkolu szuka, i ten, wysiewem czarnym po tych nieskalanych rozrzuciwszy kartach, kędy świetnieją najczystsze serca żądze i najszlachetniejsze wyobraźni rojenia z szyderczém pyta zwycięstwem:—cóż to za jedna ta pszenica celna, która jedynie głód rodzi? cóż są warte te słowa próżne, z których tylko płonne wykwitają uczucia?—i po co te wycieczki w dziedziny, które żadnego nie dostarczają owocu? Nareszcie cóż nam po tych wszystkich wzru-

szeniach i zachwytach, które tylko do rachuby wiodą, a są jedynie sobkostwa pokrywką?

I z jakże oburzającém natrząsaniem lubuje się ona w uwydatnianiu i w zbliżaniu z sobą sprzeczności, w człowieku najzwyczajniejszym nawet do usprawiedliwienia niełatwych. Jakąż sobie wyższość przywłaszcza: równie nad mozolną zasługą tych tam *poczciwych ludzi*, którzy na podobieństwo biedy ślimaczej nieruchawe tylko znają istnienie—jak i nad panoszeniem się dumném takich co to niby od tamtych wyżsi niemniej za ich przykładem, ani dbałości o dobrobyt ani upędzania się za sławą, ani nawet powszednich uciech wyrzec się nie umieją. Jakże się pyszni z wyszukania tych zaprzątnień, w zestawieniu ich z wyznawanemi głośno wprost przeciwnemi zasady! jak sobie drwi bez miłosierdzia z wahań, z niepewności, pasowania się z sobą tych, którzy wierzą jeszcze w możność pogodzenia żywości uczuć, namiętnych wzruszeń, darów umysłu, zasobów serca, z nieskazitelnością charakteru, z życiem bez zarzutu—jedném słowem z postępowaniem, któreby mogło ideałowi poetycznemu ani na chwilę kłamstwa nie zadać.

Rzeczywiście, jak tu się nawet do głębi nie zasmucić, świadkiem nieraz będąc wypadków, w których poeta na prawdę muzom się swoim przeniewierza, jakbądź od nich jednych uczyć ma się poetycznej życia mądrości? Podobne na manowce zejścia, ileż za sobą złowrogiej niewiary, ileż ciągną zniechęcenia i upadków, ileż bolesnego odstępstwa! A przecież, świętokradztwa byłby blizkim głos ten, któryby zboczenia takie, w jedném potępieniu z czołgającą się podłością i samochwalczym bezwstydem, skojarzył. Nawet na czysto byłby świętokradztwem—bowiem jeśli niekiedy czyny poety pieśni

jego kłam zadają, to za to pieśń ta czyż nie potężniej jeszcze czynów się jego wypiera? taką zaś będąc, czyliż nie więcej wpływów dobrych z siebie wysnuwa, niż sił szkodliwych jego uczynki? Doprawdy—złe zaraźliwe bywa — ale za to dobro płodne jest. Uginając swe przekonania w obec korzyści niezasługujących na jego zabiegi, poeta jeszcze i wtedy wypromienia z siebie uczucia, z powodu których prześladowanie cierpi; one to z utworów jego bijąc, dają im działalność o wiele szerszą, niżeli przykład jego życia powszedniego. A działalność ta, z pewnością daleko więcej rozdała w koło siebie pogody, spokoju, pociechy; niźli pokusy do upadku, życie to powszednie. W istocie, sztuka potężniejsza jest od artysty; wytwory jej nawet posiadają życie wcale niezależne od jego chwiejnej woli; są bowiem jednym z objawów niezmiennego piękna. i od życia ludzkiego trwalsze, z pokolenia w pokolenie przechodzą nietykalne i przedawnieniu niedostępne, niosąc w sobie oczyszczenie, dla tego który je na świat wydał.

Jeśli się kiedy i wydarzyło, niestety! że tacy którzy unieśmiertelniali swej uczuciowości tęsknoty, porywająco wypowiadając je w sposób nakazujący współczucie, chwilami w życiu tęsknot się tych zaparli, lub uczuciowość nadużyciem spospolitowali—to za to, ileż znów takich, którzy w następstwie odwagę mieli, głośną skruchą okupić to swoje odstępstwo. W tym razie, pobłażliwość wyłącznie kierować winna sądem o nich wyrokującym—ale jakżeto rzecz upokarzająca sprawiedliwości podobnej błagać! I jakże przykro bywa bronić tego, coby się tylko podziwiać godziło: lub od winy oczyszczać to, co czci jest warte!

Tedy ze wszech miar słodką jest dumą dla przyjaciela i współtowarzysza, mieć do przejrzenia przebieg

życia, w którém ani niestrojnych nie znajdziesz dźwięków, ani sprzeczności którebyś rozgrzeszać musiał, ani błędów którychby przyczyn szukać trzeba dla ich usprawiedliwienia, ani wreszcie ostateczności, będących nadmiarem godnych pożałowania pobudek. Takiemu roskoszném jest zadaniem, być w możności jednego z tych wymienić światu, którzy dowiedli: że to nie tylko usposobieniom biernym, niepodległym żadnemu zaklęciu, nieutęsknionym do najpowabniejszej fata-morgany, nieczującym do złudzeń najmniejszego pociągu, rządzącym się jedynie trzeźwością poglądów, a zresztą ścisłém tylko obowiązków powszechnie uznanych spełnianiem, — dano jest wznieść się do tej pogody ducha, której żadna przeciwność zachmurzyć nie jest w stanie, która ni razu z sobą w sprzeczności nie bywa. Tak jest—z tej miary wspomnienie Szopena wiecznie drogiém będzie, nie tylko przyjaciołom i współtowarzyszom, którzy z nim podzielali życie; nie tylko i takim których sobie utworami swemi zjednał;—ale i tym, co po nim przybywszy, chlubić się będą: że są mistrza godni.

Wpośród rozlicznych charakteru Szopena objawów, niktby podobno ani jednego przytoczyć nie potrafił, któryby nie był w zgodzie z najdelikatniejszém dobrej sławy uczuciem, a także najszlachetniejszą stosunków przyjaznych wymianą. A przecież, rzadko o usposobienie skłonniejsze do zmian, przeskoków nagłych, szorstkiego nawet dziwactwa, co wszystko z góry już przebaczyć mu było można. Rozgorzałą miał wyobraźnię, uczuciowość jego do gwałtowności była zdolna—a przytém ustrój jego wątły był i słabowity. Któż wypowie cierpienia mogące być wypływem tych sprzeczności? Dojmujące być musiały; a przecież nigdy ich nie zdradził. Dla siebie samego tajemni-

cę ich zachował, z dumną rezygnacyą pogodne zawsze ukazując czoło.

Niezrównana delikatność tak serca jego, jak i fizycznego ustroju, miała coś w sobie niemal kobiecego. Niezdolny, z powodu wątłego zdrowia, do występów w powszedniej działalności szrankach, wstręt mając zresztą do wmięszania się w to rojowisko bezpożyteczne, kędy tłumy szerszeni pszczół kilka nadmiarem sił swych obdziela—na osobności sobie komórkę do pracy wytworzył—dobrze zdala od ubitego, a nazbyt uczęszczanego gościńca. Ani wypadki głośne, ani nagłe zmiany, ani wstrząśnienia nie zamąciły mu życia, które jak sobie tylko mógł uprościł; jakbądź otaczające go warunki nie wiele w tym względzie dawały otuchy. Własne jego uczucia i wrażenia jedynemi dla niego wypadkami były, i to o wiele ważniejszemi, niż wszystko co się zewnątrz działo. Nauka, której stale i bardzo pilnie udzielał, była codziennem domowém jego zadaniem, które spełniał sumiennie i z zupełném z siebie zadowoleniem. Duszę swą tak samo w utworach swych wypowiadał, jak ją drudzy wypowiadają w modlitwie—przelewając w nie serca zwierzenia, tęsknoty niewypowiedziane, niewysłowione żale—właśnie jak to pobożni czynić zwykli w swych rozmowach z Bogiem. Bo i on rzeczy takie wytwarzał, które się tylko klęcząc z siebie snuje; owe to tajemnice namiętności, tak przedziwnie z cierpieniem zrosłe, że je bez słów zrozumiesz—bo też dla nich słów już niema.

Staranne krętych dróg życia unikanie, oddalanie od siebie wszelkiej niepotrzebnej pracy, nareszcie wstręt do marnego rozdrobniania się na bezkształtne cząstki—ustrzegły go zbawiennie od nie jednego wypadku. Postać jego, zaledwie zarysować się daje w kilku pociągach, tonących w mgle błękitnawej—dotknąć zaś jej, niech się nikt

nie kusi. Nigdy się do żadnego nie wmięszał działania, nigdy do żadnego nie należał dramatu, nigdy nic nie zawiązał, ani nie rozwiązał. Przeważnego też wpływu na niczyje nie wywarł istnienie. Wola jego nie kierowała żądzą niczyją; przewagą swoją niczyjego umysłu ani nie zgnębił, ani nie ujął w karby. Niczyjego serca nie opanował przemocą, nie położył zdobywszy ręki na niczyjém przeznaczeniu; zdawał się bowiem niczego nie szukać,—zanadto zaś był dumnym, aby o co prosić. Wzorem Tassa powiedzieć mógł o sobie:

....Dużo pragnął—mało się spodziewał—nie żądał niczego...

Ale też za to sam się wszelkim więzom wymyka, a zwłaszcza wszelkim takim przyjaźniom, które go mogły chcieć za sobą we wstrętną mu wrzawę świata pociągnąć. Gotów był wszystko dać—prócz siebie. Czuł zapewne: jak wyłączne poświęcenie, jak bezwarunkowe przywiązanie, zdolny był natchnąć, zrozumieć, i podzielić. Być może myślał także, jak wiele innych dusz wyniosłych: że miłość i przyjaźń niczém są, jeśli nie są wszystkiém. A może więcej go kosztowało podzielić te uczucia, aniżeli nigdy ich nie napotkać, wiecznie się tylko nosząc z niedosięgłym ich ideałem. Tak, czy inaczej było? któż zgadnie; nigdy go bowiem ani o miłości, ani o przyjaźni mówiącego nie słyszano. Swoją drogą nie był wymagający; jak to bywają tacy, którym ludzie o wiele mniej z siebie dać są w możności, niż to, co się im słuszném prawem od nich należy. Za to najzażylsi jego przyjaciele nie zdołali się nigdy dobrać do tego przybytku, w którym chroniła się dusza jego w obec wszelkiej obczyzny; ustronie to tak było nawet zatajone, że się go zaledwie domyślać godziło.

W stosunkach swoich i rozmowach, zdawał się zajmować tylko tém, co mogło drugich obchodzić; mało dbał

*

o to, aby kogo wyprowadzić z zakresu jego osobistości dla narzucenia mu swego wpływu. Jeżeli w ogóle oszczędnie udzielał swego czasu, za to raz go komu dawszy, nic już z niego nie zachowywał dla siebie. O czémby marzył rad, czegoby życzył; chciał, lub coby zdobył przemocą, gdyby biała jego wypieszczona ręka, pomiędzy złote struny jego liry zdolna była mosiężne nawiązać—o to nikt go nigdy nie pytał, bo w jego obecności ani o tém pomyśleć było można. Rozmowa jego rzadko dotykała wzruszających przedmiotów. Zręcznie się po nich przemykał dla braku niby czasu, w wypadkach podobnych przechodząc, że tak powiem, do porządku dziennego, starannie nawet zagadywał szczegółowe w tym względzie wyjaśnienia, bojąc się pewnie: żeby nie dotyczyły jego osoby. Osobistość jego nie zachęcała do żadnych badań, podstępnych poszukiwań, cóż dopiéro płonnej ciekawości. Tyle się umiał podobać—żeś ani pomyślał brać go pod rozbiór ścisły. Powierzchowność jego tak była we wszystkich szczegółach swoich zgodna, że zdawała się nie potrzebować najmniejszego tłómaczenia. Niebieskie jego oko, raczej było dowcipne jak marzące; łagodny uśmiech nigdy gorzkim nie bywał. Zachwycającą była przezrocza delikatność jego cery; włosy miał płowe i jak jedwab miękkie, nos zlekka zgięty, ruchy wykwintne, obejście zaś tak wysoce pańskie, że mimowolnie czułeś w nim książątko. Miał wdzięk sobie właściwy i nadzwyczaj urozmaicony; dźwięk głosu jego słodki był i najczęściej cichy. Niewielkiego był wzrostu—w sobie zaś drobny i wątły. Poglądając na niego, koniecznieś myślał o powoju, o tym niezmiernie wysmukłym, u którego wiotkich niteczek tak cudownie tęczowane zwieszają się dzwonki, ale zarazem z tak cienkiej utworzone tkanki, że rozedrzeć je możesz za lada dotknięciem.

W stosunkach światowych przedstawiał zawsze jednostajność usposobienia, właściwą ludziom, którzy nie doznają trosk ani zmartwienia—nic ich bowiem tak bardzo nie zaprząta. Zwyczajnie nawet wesoły bywał; satyryczny jego dowcip szybko chwytać umiał śmieszność, i to ze strony, z którejby się jej najmniej spodziewano. Wtedy, bywało, rozwijając niewyczerpaną a nadzwyczaj pocieszną werwę naśladowczą, w improwizacyach jedna nad drugą śmieszniejszych, odtwarzał: to dziwaczne formuły muzyczne to właściwe niektórym wirtuozom cudactwo jakie, udając ruchy ich przesadne, sposób grania, nawet wyraz twarzy, z trafnością, która w jednej chwili, jak najdokładniej obraz danej osobistości zarysowywała. Rysy jego zmieniały się wtedy do niepoznania—urozmaicać je mógł jak sam chciał; dodać tu jednak pośpieszam, że nawet brzydotę naśladując i cudactwo, nigdy nie tracił wrodzonego wdzięku. Skrzywienie także nigdy go wstrętnym nie czyniło; wesołość zaś jego tém powabniejsza była, że umiał ją trzymać w granicach wytwornego smaku, surowo od siebie odpychając wszystko co je w jakibądź sposób przekroczyć mogło. W chwilach nawet najpoufniejszego wylania, nie zapominał nigdy o tém, co mogło, bądź przyzwoitość serca, bądź umysłu, obrazić.

Usilném niedopuszczaniem rozmowy, której sam mógł być przedmiotem, nieustanną także bacznością około trzymania na wodzy uczuć własnych, doszedł Szopen do tego: że był wielce w towarzystwach pożądanym; nie zostawiał bowiem po sobie wrażenia obecności kogoś, który ci niejako za to, że cię na chwilę rozerwał, niebawem smutków swych wypowiadaniem, sam sobie szczodrze płaci. A przecież reakcye podobne bardzo są do przebaczenia u tych usposobień wyjątkowych, o których powiedzieć się

godzi: *ubi mel ibi fel*—tylko że ogół, jakbądź nie odmawia im niejakiego przy sposobności uznania, jakbądź do pewnego stopnia zaciekawia się niemi, a nawet nieraz nie pożałuje im uczczenia—to jednak chętniej daleko zdala się trzymając, rad jest unikać mniej wygodnego z niemi spotkania, tyleż zupełnie podzielać ich wzruszenia, ile i gotów obojętnie je pominąć. Otóż obecność Szopena miała to do siebie, że zawsze była pożądaną; tak dalece bowiem nikogo nie zaprzątał sobą, że nie tylko sam się całkowicie na bok usuwał, ale jeszcze oddzielał się od reszty ludzi tak gładką i ślizką przestrzenią, że na niej ku niemu ani podobna było zrobić kroku.

Jakbądź rzadko, zdarzały się jednak chwile, w których go znajdowałem głęboko wzruszonym. Wtedy bladł i zdawał się być blizki omdlenia. Jednak wpośród najżywszych wzruszeń, umiał zawsze odzyskać władzę nad sobą. W chwilach podobnych, jak zwykle, skąpy bywał w słowa. Skupiwszy się w sobie czas jakiś niebawem postawą swoją kłam zadawał schwytanemu na uczynku wrażeniu. Swoboda obejścia, którą wtedy z nawyknienia rozwijał, skutkiem już namysłu była, a także siły woli, w dziwném u niego trzymającej spojeniu potęgę ducha ze słabością ustroju. Nieustanne to nad gwałtownością charakteru panowanie uwydatniało w nim smutną dolę istot, które znając całą daremność wybuchów swego gniewu, a także dziwnie zazdrośne tajemnicy swych uniesień, żeby się jeszcze do tego przed byle kim nie zdradzać, w milczącém odosobnieniu wyższości swej szukają.

Umiał szlachetnie przebaczać, i w sercu swém nie zachowywał niesmaku do ludzi, którzy go kiedy urazili; ale ponieważ uraza bardzo głęboko w duszę mu sięgała, dotkliwie od niej cierpiał i tak długo, że nieraz pamięcią już nie ogarniał jej przyczyny, a jeszcze skrytą przykrość mu

sprawiała. Mimo to, ponieważ uczucia osobiste zwykł był bez wahania poświęcać na ofiarę temu, co według niego *powinno było stać się, aby dobrém było*, dochodził tedy do tego, że nawet w pewnym stopniu wdzięczny bywał takim, którzy w niewinnej a najlepszej chęci, ani się domyślając, mniej zręcznie nieraz skrytych drażliwości jego dotknęli. A przecież, winy podobne, najtrudniej pewnie przebaczać usposobieniom, jak jego, wysoce nerwowym, co to skazane są powściągać się nieustannie, a za to doświadczać wewnątrz głuchego rozdrażnienia, wybuchającego nieraz niewiadomo czemu; choć mocno myli się w tym względzie każdy, kto sądzi: że te objawy zdradzają tylko niczém nieusprawiedliwione dziwactwo. Swoją drogą, przy głębokiej, jaką posiadał, świata znajomości, jeśli mu się zdarzyło z osobistościami od niego jeszcze drażliwszemi kiedy być w zetknięciu, starannie unikał pokazać to po sobie: ile mu przykrym był podobny stosunek.

Powściągliwość w mowie stosował również, a może przedewszystkiém, do przedmiotów, do których wiąże się fanatyzm przekonań. Właściwie powiedzieć by można: że go mniej słusznie z tej strony sądzono; gdyż raczej według tego, czego w ciasnym zakresie swojej działalności dokonać nie był w stanie. Przywiązanie do kraju objawił talentu swego kierunkiem, wyborem przyjaciół i uczniów wyróżnianiem, wreszcie częstemi a wielorakiemi przysługi, które ziomkom wyświadczał—ale nie przypominam sobie: żeby kiedy mówić o tém lubił. Jeśli się kiedy wdał w dyskussyą, idei politycznych dotyczącą, co jak wiadomo, bywa ulubionym rozmów we Francyi przedmiotem, tyleż gorąco nieraz napastowanym ile i bronionym—to raczej dla wytykania błędnych w tym względzie pojęć, niżeli dla przyznawania innym jakiejbądź wyższości. Przyniewolony zaś do stosunku ze znakomitościami.

których sprawy publiczne wyłącznym były żywiołem, umiał go ograniczyć na wzajemnej przyjaźnych uczuć wymianie, zachowując sobie jak zawsze najzupełniejszą sądu niezawisłość.

Demokracya w oczach jego zanadto była nieskładnym najróżnorodniejszych żywiołów nawałem, zanadto wichrowatym, zanadto dzikim wreszcie zdawała mu się działać naciskiem—ażeby mu sympatyczną być mogła. Jużto z pół wieku temu objawy te kwestyi społecznej porównywano do nowego niby barbarzyńców napadu. Otóż Szopen do tych należał, których może najdotkliwiej zastraszało groźby podobnej powtórzenie; rozpaczał on: czy się uda u Attylów współczesnych wybłagać Rzymu dawną całość, a razem od zniszczenia zachować zdobycze sztuki, zabytki jej i zamiłowanie, jedném słowem, to życie świetne, wypoczęte i powabne, jakie śpiewać lubił Horacy. W tym względzie, z ustronia swego bacznie śledził wypadki, i nieraz z trafnością poglądu, jakiej się u niego nawet domyślać nie było można, przepowiadał rzeczy, których jasnowidztwo przyniosłoby zaszczyt ludziom więcej od niego wtajemniczonym w przedmiot sporny. Jeśli kiedy jednak słowo to jego nie zwróciło niczyjej uwagi, nie miał zwyczaju rozwodzić się nad tém dłużej. Najczęściej nawet, co prawda, przewidzenia jego, dopiéro w sprawdzeniu wypadkami miewały uznanie. Pełen przenikliwości sąd jego zdrowy szybko przekonał go o najzupełniejszej czczości wielu bardzo występów politycznych, teologicznych zatargów, filozoficznych nieporozumień; i to go wcześnie doprowadziło do uznania zasady pewnego niepospolitego myśliciela (był nim powszechnie poważany margrabia Juliusz de Noailles), który nieraz bywało, w gronie zagorzałej, wielce mu jednak ulubionej młodzieży, zadania społeczne najżywotniejsze ogadując, zwykł był rozmowę swo-

ję kończyć słowy, zwątpienie lat dojrzałych zdradzającemi i na razie dziwnie nam wstrętnemi, a niemniej, jak się to później pokazało, proroczym przejętemi darem, że: „dziś, z nikim już, w przedmiocie żadnym, dojść do ładu nie można."

Szczerzę religijny i z przekonania do katolicyzmu przywiązany, nigdy jednak przedmiotu tego zaczepiać nie lubił, dla siebie wiarę swą chowając, a także zewnętrzne jej objawy. Można było oddawna mieć z nim znajomość, a nic zupełnie nie wiedzieć: co o tém myślał. *Il mondo va da se*, zdawał się mówić sobie—byle mu nic nie odrywało ręki od tęsknego błądzenia po strunach ulubionej mu lutni. Nieraz, godzinami całemi spoglądałem na niego wpośród zgiełku ożywionej rozmowy, od której się trzymał na boku, otulony milczeniem. Bywało, w zaprzątnieniu ogólném, wszyscy zapominali nawet o jego bytności; co do mnie, zapominałem raczej o tém co mówiono, i tylko Szopena nie spuszczałem z oka. Na twarzy jego, niedostrzeżenie grały wtedy najdziwniejsze uczucia, zwłaszcza jeśli przedmiotem namiętnej rozmowy były badania, dotyczące głębokich zadań naszej istoty—a te pamiętam, z tak zawziętém naonczas rozbierano uniesieniem, że pomyślałbyś: toćże się tu wszystko koniecznie raz na zawsze rozstrzygnie. Wtedy Szopen wyglądał podobny do podróżnika, stojącego wpośród burzy na pokładzie zrozpaczonego okrętu—zdawał się niby: to po widnokręgu rozglądać, to po gwiazdach, o swej dalekiej zadumany ojczyznie—następnie po wysiłkach osady wodzić wzrok roztargniony — wreszcie w milczeniu upatrywać środków ratunku—tylko że sił mu brakło, linę chwycić zbawczą...

W jednym tylko wypadku, znalazł stosownem i milczenia się swego i neutralności wyrzec chwilowo. Było-

to w sztuki sprawie, w tej jedynej, do której obrony stanowczo czuł się powołanym, znając całą wagę swojego w tym przedmiocie sądu, a także niepożytą działalności swej zasługę. Byłoto niby: ze wszechmiar należne samemu sobie słuszności oddanie, rodzaj prawowitego zabrania głosu w sporze, który wyłącznie pod jego podpadał uznanie—w tém zaś ostatniém wiedziano dobrze: że się on nie mylił. Przez lat też kilka w tym przedmiocie z namiętnym walczył zapałem; aż gdy odniesione nad przeciwnikami zwycięztwo, o wiele obowiązki te, czasowo przez niego podjęte zmniejszyło, w następstwie nie szukał już innej sposobności wystąpienia na przewodzie pod jakąbądź chorągwią. W tym zaś jedynym razie udział w walce przyjąwszy, dał niezłomne dowody silnych, wyprobowanych i wytrwałych na wszystko zasad, jakiemi zwykły bywać takie, które z życiem człowieka są zrosłe, jakbądź bynajmniej nie szukają popisu.

W roku 1832, niedługo po jego do Paryża przybyciu, w muzyce równie jak w literaturze nowa się poczęła wytwarzać szkoła, której uczniowie rozgłośnie strząsać z siebie poczęli jarzmo dawnych więzów. Zaledwie uspokoiła się nieco gorączka pierwszych lat lipcowego wstrząśnienia—kiedy oto, zapalone umysły, co żywiej ku naprawie w dziedzinie piękna całe współczesne zajęcie przeniosły. Tak zwany *romantyzm*, siłą całą wtargnął na porządek dzienny—i wprędce zawiązała się walka zagorzała, to przeciw niemu, to za nim. Nie było możebnego pojednania pomiędzy tymi, którzy ani przypuszczali jakiejkolwiek w dotychczasowym stanie rzeczy zmiany, a tymi którzy żądali, ażeby wolno było artyście stosować formy do rodzajów uczucia, a nawet żeby im się godziło nowe wytwarzać, przeto iż dawne potrzebom szerszym odpowiadać przestały. Pierwsi wierzyli w istnienie praw

ustalonych, ściśle ograniczonych udoskonaleniami, które były dla nich wyrazem bezwzględnego piękna, i z tej miary sądzili każde dzieło sztuki; raz jednak przypuściwszy: że wielcy mistrze dosięgli już w tym względzie ostatecznych granic, następcom ich nie pozostawiali innej chwały, jak tylko nadzieję: że się mniej albo więcej zbliżyć do nich potrafią, nigdy zaś im dorównać—najdokładniejsze bowiem naśladownictwo nigdy się nie podniesie na samoistności wyżyny. Drudzy znowu przeczyli: ażeby piękno mogło być ograniczone stałą i bezwzględną formą—owszem, wielką w tym względzie różnorodność przedstawiała im się w dziejach sztuki, na podobieństwo niby namiotów rozbijanych tu i ówdzie na drogach ideału; byłyto niejako przestanki chwilowe, w których geniusz od czasu do czasu miał przybytek, ale które spadkobiercy jego, chcąc iść dalej, pomijać powinni. Tamci usiłowali, w ściśle symetryczne i wiecznie tychże samych kształtów ramy, wtłaczać natchnienia, równie czasów jak i usposobień najróżnorodniejszych; ci zaś dla każdej myśli żądali swobody, nieuznając w tym względzie innej zasady, jak tylko ścisłą zgodę bezpośredniego formy z uczuciem stosunku. Najcenniejsze bowiem sztuki wzory, zdaniem ich nie wyczerpały jeszcze całości ludzkiego uczucia, a przeto i ilości form odpowiednich. Nadto, nie koniecznie dbając o doskonałość formy, o tyle tylko bez zarzutu ją mieć chcieli, o ile to niezbędném być mogło do najzupełniejszego potrzeb duszy wypowiedzenia; wiedzieli bowiem: że w tym razie mniej udatna forma, na podobieństwo nieprzezroczystego ciała bijące z wewnątrz promienie, łatwo przejmować i w siebie wchłaniać jest zdolna. Tym sposobem, stronę tworzenia rzemieślniczą pod zwierzchnictwo natchnienia poddając, zmuszając geniusz do wyrabiania form, któreby najwybujalszym wymaganiom pomysłowo-

ści odpowiednie być mogły, a oraz przeciwnikom swoim czyniąc zarzut używania w tym razie męczarni Prokustowego łoża—jednocześnie odrzucili zasadę, stosownie do której, nie było sposobów upoważniających do wyrażenia wszelkich rodzajów uczucia; skutkiem czego stać się mogło i zapewne nieraz się tak stało, że dla braku form nowych nie wypowiedziano światu czegoś całkiem nowego,— a przecież w postępowym rozwoju ludzkiego umysłu w równej mierze z człowiekiem iść muszą i sposoby wyrażania jego myśli twórczej.

Ci którzy radzi byli: ażeby pożercze geniuszu płomienie, co prędzej w popiół obróciły spruchniałe starych wiązań rumowiska, odważnie przy Berliozie stanęli, najzdolniejszym z nich wszystkich, najzuchwalszym i najwytrwalszym. Niebawem i Szopen do niego przystąpił, i był mu jednym z tych, którzy najwięcej w to włożyli usiłowania, ażeby równie z niewolniczych starego stylu powijaków się wyzwolić, jak i szarlatanizm z pogardą odepchnąć,—mogło się bowiem zdarzyć: że dawnych nadużyć królowanie tylko by nowym ustąpiło miejsca.

Przez cały czas trwania zapasów romantyzmu, z których jak wiadomo, nie jedna próba zwycięzka wyszła, Szopen niezmiennie te same zachował pociągi i wstręty. Najmniejszego też ani na chwilę układu nie przypuścił z tymi, którzy według niego, bądź nie dość godnie postęp przedstawiali, bądź nie dość szczerze mu służyli, więcej dbając o wyzyskiwanie sztuki na korzyść rzemiosła, niż o sztukę samę, za przelotnym jedynie uganiając się rozgłosem, niespodziankami tylko uwagę tłumu ku sobie wabiąc. Wprawdzie bez żalu pożegnał stosunki, które mu niegdyś nawyknienie narzuciło, jak tylko się przekonał: że go powstrzymują w pochodzie, zapomocą więzów, które już za przestarzałe uważał; ale też i uparcie odpychał

nowe, jeśli znajdował: że powodzenie czyje, zdaniem jego przesadne, zanadto uwydatniało jednę jaką kosztem drugich zasługę. W niczém też nie pochwalał tego, czego nie uważał bądź za istotną korzyść dla sztuki, bądź za rzecz ze wszech miar godną poważnego na nią poglądu. Nie uznawał również w sprawie drażliwej pogodzenia z sobą dwóch przeciwnych obozów, owego sposobu polegającego na wzajemném oszczędzaniu się w walce, i wreszcie ustępstwach, idących na rachunek naczelnika stronnictwa; te bowiem ostatnie, najczęściej w zamęcie współzawodnictwa, wpośród ogólnej wrzawy, dyplomatyczne zawiązując układy, misternie w środkach przebrawszy, cele swe z oczu gubią, i przeto zgubnego zejścia na manowce stają się powodem. Dla powodzenia dzieł swych sztucznego nie szukając poparcia, zwykł był mawiać: iż nie wątpi, że własna ich wewnętrzna wartość, dostateczném im jest zaleceniem—mniejsza zaś o to: że je uznanie dziś czy jutro spotka.

Usiłowaniom naszym w owe czasy, i walkom naszym tyle jeszcze słuszności własnej sprawy niepewnym, i w których za przeciwników niezbyt groźnych mieliśmy po większej części *starców* tylko *chwiejących głowami*— Szopen od siebie nie tylko spokojnego i niewzruszonego przekonania poparcie przeważne dawał, nie tylko kładł w to całą siłę swojej woli, a oraz niezmienną wiarę w powodzenie, zarówno od znużenia jak od obłędu bezpieczną,—ale i pomocy potężnej użyczał, jako ktoś, który głośno zasługę dzieł niepoślednich wyliczyć jest w możności. W tym względzie, śmiałość swoję takiém łagodzić umiał pomiarkowaniem, tak głęboką usprawiedliwiać wiedzą, tak wykwintnym upiększać wdziękiem; że co prędzej, szczeremi objawami podziwu, śpieszono mu przebaczyć to jego wyłączne w samym sobie zaufanie. Gruntowne stu-

dya, z lat wczesnych nawyknienie do rozmysłu, i wreszcie dla klassycznego piękna cześć głęboka—ustrzegły go od macania w ciemności, a zwłaszcza od tych półpowodzeń, których nie łatwo uniknąć niejednemu stronnikowi pojęć całkiem nowych. Pilna cierpliwość w wygładzaniu i wykończaniu swoich utworów, była mu puklerzem od napaści tuzinkowej krytyki, nawykłej wojować i pobijać niby w sposób nie trudny, wytykaniem omyłek, lub mimowolnego tu i ówdzie zaniedbania. Wcześnie włożony do wymagań ścisłych, sam nawet wytworzywszy dzieła w których się im poddał, formy dawne jedynie po głębokim odrzucił rozmyśle. Zawsze naprzód szedł, i to w imię własnego przekonania, ani się unieść dając przesadzie, ani się do układów skusić; teoryi nawet rozbiór na bok odkładając, byle zapewnił zwycięztwo jej wynikom. Nie tyle dbając o utarczki po szkołach, ile o ostatnie ich słowo, od którego dzieł jedynie, i to bez zarzutu, wymagał—tym sposobem szczęśliwie i zawiści osobistych uniknął, i upokarzającego mniéj godnym z drogi ustępowania.

Przy pozorach o wiele skromniejszych, nie tyle ekstatycznych, a za to więcej nowoczesnych, Szopen tę samę cześć miał dla sztuki, jaką wyznawali niegdyś mistrze średniowieczni. Dla niego, jak dla nich, piękném była, świętém nawet powołaniem. Jak oni dumnym był ze swego namaszczenia—nosił je też ze szczerą pobożnością. Uczucie to, w godzinie nawet śmierci zdradził życzeniem, które aby zrozumieć znać trzeba dotąd jeszcze praktykowany niekiedy w Polsce obyczaj prastary. Stosownie do niego, umierający zawczasu rozporządza: w jakiém ubraniu ma być pochowany; ubranie to, czasami i trumna, oddawna już na ten cel bywają przygotowane (1). Ale najczęściej, w godzinieto dopiéro ostatecznej, konający wypowiadał życzenie, z którém się może Bóg wie od jak dawna nosił—myśl streszczającą może najskrytsze jego o życiu przekonania—albo przynajmniej ogólny przebiegu życia tego wypadek. Zaczém zdarzało się: że najbardziej światowi ludzie w szatach zakonnych spocząć sobie życzyli; to znowu: bądź chciano mieć wtedy z sobą, bądź też odrzucano od siebie, noszone w życiu godności oznaki—w miarę jak się do nich wspomnienia chwalebne albo też gorycze zawodów wiązały. Tak też i Szopen, w przystępie niewytłómaczonej nikomu chęci—on, który najmniej podobno ze wszystkich współczesnych artystów publicznie słyszeć się dawał—życzył sobie koniecznie: wziąść do trumny ubranie, w jakiém go na koncertach jego widywano. Głębokie pewnie dla sztuki przywiązanie kierowało pobudkami tej ostatniej jego woli, w chwili, kiedy przykładnie wszelkich prawego chrześcianina dopełniwszy obowiązków, porzucać już musiał wszystko, czego odchodząc z ziemi, nie mógł zabrać w niebo. Ale na długo on przed zgonem związał już z nieśmiertelnością tę miłość swoję i wiarę; ztąd nic dziwnego: że nawet w mogiłę się kładąc rad był raz jeszcze w milczący sposób stwierdzić przekonanie, któremu bezwarunkowo życie całe poświęcił. A tak, skonał sobie samemu wierny, to jest z uczczeniem sztuki, jako ten, któremu nie tajna była równie jej wielkość tajemnicza, jak i najcudowniejsze jej objawienia.

Jak powiedzieliśmy, chętnie od świata stroniąc, Szopen wszystkie swoje serca potrzeby rad ograniczał w skromném kółku rodziny i przyjaciół młodości. Z tymi też zachował on bez przerwy stosunki, które utrzymywał

(1) Autor *Ludgarda* oraz *Adolfa* i *Julii*, którego miałem sposobność poznać w czasie pobytu mego na Wołyniu, starzec już naonczas przeszło ośmdziesięcioletni, stosownie do wzmiankowanego powyżej zwyczaju—pamiętam—trumnę sobie kazał zrobić, która też już od lat trzydziestu stała przy wejściu do jego pokoju.

z wielkiém staraniem. Szczególnie kochał siostrę Ludwikę—było bowiem pomiędzy nimi dwojgiem osobliwsze sposobu myślenia i popędów uczucia zbliżenie. Z Warszawy nieraz do niego przyjeżdżała—przybyła wreszcie kiedy już dogorywał zwolna, i przez całe trzy miesiące, aż do ostatniego jego tchnienia, otaczała go staraniem poświęcenia pełném.

Szopen z najbliższymi swymi bardzo troskliwie utrzymywał stosunki listowe—ale wyznać należy: że jedynie z nimi. Jedną z osobliwości jego było, że za nic w świecie nie napisał nigdy do nikogo obcego,—sądzićby można: że w tym względzie, zrobiony sobie samemu ślub jakiś spełniał. Było rzeczą nielada ciekawą, widzieć nieraz: jakich używał sposobów, aby uniknąć konieczności napisania lada nic nieznaczącego świstka. Bywało tak: że wolał przebyć Paryż cały z końca w koniec, dla odmówienia jakiego obiadu, lub dania żądanych objaśnień, byle sobie tylko oszczędzić trudu napisania kilku wierszy. Z tego powodu, pismo jego było czémś całkiem niemal nieznaném. Powiadają: że zdarzało mu się robić w tym względzie wyjątki, i to na korzyść niektórych pięknych pań jego kraju, i że są takie, które się pochwalić mogą: że mają od niego listy po polsku pisane. Niesłychane to u niego stale przyjętej zasady pogwałcenie, usprawiedliwić się chyba może przyjemnością, jaką mu sprawiało używanie mowy rodzinnej; nie tylko bowiem z ziomkami językiem swego kraju rozmawiać lubił, ale i dosadne jego wyrażenia cudzoziemcom z upodobaniem nieraz tłómaczył. Wybornie znał francuzki język, jak w ogóle niemal wszyscy Słowianie; do tego pochodzenie jego jeszcze mu silniej w znajomości tej dopomagało. A przecież, francuzczyznę bardzo nizko cenił, zarzucając jej chłód i brak dźwięczności. W tym względzie, podzielał tylko powszechne

ziomków swoich przekonanie, którzy w ogóle po francuzku z wielką mówią łatwością, często nawet sami między sobą, i nieraz biegłej niż po polsku; a jednak utrzymywać zwykli, że tylko w swoim języku posiadają odpowiednie wyrażenia dla tych tysiącznych odcieni, które wydają się być myśli migotaniem. Zdaniem ich mowie francuzkiej, to stosownej wspaniałości, to słów dostatecznie namiętnych, to wreszcie wdzięku pociągającego braknie. Bywa nieraz, spytasz ich o wytłómaczenie ci jakiego wiersza, czasem tylko oderwanego słowa, które sobie po polsku wymienią:—„o! to się nie da żadną miarą wyrazić"—niechybnie ci z góry powiedzą. Następnie probują rzecz objaśnić, i oto pokazuje się: że tam jest tyle do wypowiedzenia, samym już tego wyrazu wymówienia sposobem, a dalej znaczenia jego bogactwem, rozlicznemi stosownie do okoliczności odcieniami —że chyba on istotnie wyrazić się nie da. Już z tych kilku powszechnie tam przyjętych sposobów mówienia, które dotąd tu i ówdzie przytoczyłem, dowód mieć można: że język polski obfituje w środki obrazowania rzeczy oderwanych, i że w przebiegu swojego rozwoju miał sposobność, pomiędzy najsprzeczniejszemi ideami, kunsztowne ustalić zbliżenia. Z tego wszystkiego powywiązywały się oweto kolorytu żywości, bijące z każdego dosadniejszego w nim wyrażenia, a razem osobliwsze słów działania, tak że powiedziećby o nich można: że koniecznie budzą w umyśle dźwięk, odpowiadający tercyi, który natychmiast myśl w akord minorowy lub majorowy ukształca. Bogactwo podobnej mowy nastręcza dziwną łatwość w wyborze stosownego do okoliczności nastroju; niemniej przecież, to samo bogactwo, w niektórych razach, także utrudnieniem się staje; ztąd bardzo być może: że ów tyle rozpowszechniony w Polsce obcych języków użytek, przypisać wypadnie pewnemu, że

tak powiem, ducha lenistwu, które oszczędzićby sobie rade utrudzenia w wyszukiwaniu odpowiednich wyrażeń w języku pełnym nagłych głębi, a zarazem tak ścisłej zwięzłości, że tuzinkowość staje się w nim nieznośna a prześlizgiwanie się po wierzchu niemal niepodobném. Niewyraźne oddźwięki lada jako określonych uczuć, wymykają się silnym gramatycznym jego wiązadłom; nie osiedzi się w nich żadna myśl chuda lub oklepana; przy, bliższém bowiem z mocą słów zetknięciu, koniecznie stać się musi śmieszną lub nic wartą. Nie czemu też innemu zapewne, tylko tym niepoślednim właściwościom języka, zawdzięcza literatura tego kraju, w porównaniu z liczbą pisarzy, stosunek arcydzieł większy niż gdzieindziej. Ośmielając się bowiem używać go, już przez to samo mistrzem sie stajesz (1).

W stosunkach z rodziną rozwijał Szopen wdzięk ujmujący. Nie tylko że jedynie z tymi najbliższymi swymi listowne utrzymywać lubił stosunki; ale jeszcze korzysta-

(1) Byłoby niesłusznem odmówić mu przytém harmonii muzycznej. Dziwny to bowiem przesąd twierdzić: jakoby zbytek spółgłosek miał koniecznie językowi twardość nadawać—zależy to bezwzględnie od sposobu ich łączenia. Przeciwnie, języki niektóre właśnie przezto blady miewają i zimny koloryt, że im brak dźwięków stale oznaczonych i napiętnowanych siłą. Dopiéroto częsty powrót pewnych spółgłosek, mowę wybitną wzmacnia rytmicznością—przewaga zaś samogłosek stanowi tylko tło rozcieńczone, które kunsztownie przyćmić tu i ówdzie, nie lada bywa potrzebą. W tym względzie, niesforne jedynie sprzecznych dźwięków potrącanie się, przykrym sposobem na ucho działać może. Ale nie tak jest u Słowian. W łączeniu u nich spółgłosek, nie dosłyszysz nigdy niezgodności—nawet wtedy, kiedy cię to raczej uderza swoją trudnością, niż powabem pociąga. Dźwięków mają wielkie bogactwo, potęgowane jeszcze mnóstwem odcieni. Rejestr ich, urozmaicenie w intonacyach niemało także wzmacnia. Głoska *Ł*, dla cudzoziemca niemal do wymówienia niepodobna, nie ma przecież w sobie nic twardego. Sprawia ona niby wrażenie dotknięcia wełnianej tkaniny—jest to coś sobie szorstkiego i sprężystego zarazem. Porównanie to rozciągnąć się nawet godzi do całego ogółu wrażenia, jakie słyszenie tych języków na ucho cudzoziemca wywiera. W języku polskim

jąc ze stałego swego w Paryżu pobytu, przyjemność miał niezrównaną przesyłać im coraz to jakąś ztamtąd niespodziankę, niekiedy choćby i drobnostkę, ale której cenę powiększała pamięć jego serca. Ku temu usilnie badał: co też w Warszawie poszukiwaném być mogło, i to natychmiast razem z listem wyprawiał. Rad był żeby zachowywano rzeczy podobne, jako niby zastępstwo własnej jego wpośród miłych mu osób obecności. Sam także nie małą przywiązywał cenę do słodkiej w tym względzie zamiany. Z domu listy odbierać, lub upominki jakie, było dla niego wielką uciechą; nikogo wprawdzie do podziału jej nie przypuszczał, ale widzieć to było można po niezmiernej troskliwości, jaką otaczał przedmioty ztamtąd mu nadsyłane. Najdrobniejsze nawet, dziwnie mu były drogie i nie tylko nikomu ich używać nie pozwalał, ale nawet widoczną przykrość mu sprawiało, jeśli ich kto dotykał.

Zewnętrzna wykwintność tyleż mu wrodzoną była, ile i umysłu delikatność; znać ją było w najpospolitszych

znajdziesz do tego nie jeden wyraz, jak najdokładniej dźwiękiem swoim naśladujący przedmiot, który wypowiada. Weźmy nie dalej jak sam ten wyraz *dźwięk*. Podobnaż dotykalniej uwydatnić uczucie, jakie z pojęcia tego zmysłowi słuchu przypada? Bogactwo nieznanych nigdzie więcej pomiędzy spółgłoskami kombinacyi wielką tu bywa pomocą. Dodajmy do tego zmiękczania ich i stwardniania, a także samogłoski nosowe, wreszcie użycie *Y*, równie dla cudzoziemca jak *Ł* nieprzystępne, i równie jak ta głoska do wysokiego stopnia migotliwe. Tysiączne te, tak już w sobie subtelne i tak ruchliwe środki, w ustach kobiet, nabierają jeszcze pewnej śpiewności i powabnego przeciągania, po którém to nawyknieniu, słysząc je nawet jak najbieglej obcym językiem mówiące, z łatwością narodowość ich odgadniesz. Jest i w tém jeszcze niezliczona moc odcieni—uderzeń, nacisków, natężeń, spadków, przejść modulacyjnych, to powolnych, stopniowanych, to nagłych, to w wymawianiu pojedyńczych wyrazów, to w zaokrąglaniu zdań lub okresów całych, i to zawsze stosownie do przedmiotu rozmowy—w czém wszystkiém dziwnie się czuje oszołomioném ucho cudzoziemca—zwłaszcza jeśli jeszcze towarzyszy temu dowcipny uśmiech a złośliwe spojrzenie, przypominające zdradliwą postawę niektórych ptaków wabiących swém szczebiotaniem, na to tylko, ażeby z tropu zbić myśliwca.

sprzętach, któremi się otaczał ten człowiek, tyle w obejściu swojém wytworny. Bardzo lubił kwiaty. Nie roztaczając próżnego zbytku, jakim niektóre współczesne mu znakomitości paryzkie mieszkania swoje przeładowywały, umiał zachować w tym względzie tak samo jak i w ubiorze, coś co ani nadto nie było, ani też za mało.

Nie bardzo lubiąc do zwykłych światowych wymagań, bądź czas, bądź myśl swą, bądź nawyknienia codzienne naginać, często kobiece towarzystwo nad inne przekładał, przeto iż go mniej od innych obowiązywało. Wtedy bywało, chętnie nawet w ciuciubabkę z dziećmi się bawił, lub im pocieszne opowiadał zdarzenia, sam się ich śmiechem ciesząc, jakby najsłodszego słowika śpiewem. Lubił też wieś i życie zdala od stolicy. Tam nawet w obmyśliwaniu rozrywek niewyczerpanym, a bardzo pożądanym bywał. Swoją drogą, pracy nie zaniedbywał i bodaj czy nie najlepsze jego utwory, z tamtych czasów pochodzą. Przynajmniej czujesz w nich dni szczęśliwych wspomnienie.

* * *

Szopen przyszedł na świat w Żelazowej Woli, w pobliżu Warszawy, w roku 1810. Tak przynajmniej mnie-

W istocie nawet, mowę tę w ustach Polek, nie bez słuszności pewnej, szczebiotaniem nazwać się godzi. Umieją jej one słodycz nadawać i pieszczotliwość, jakiej daremnie byś znowu w ustach mężczyzn szukał. Ci ostatni bowiem, raczej poważne brzmienia z niezwykłą starannością uwydatniać w niej radzi; ale też słysząc to pojmujesz snadno, dla czego tak świetnie u nich kwitła niegdyś wymowa. Niemniej przecież i dla poezyi niwa tam bogata. Ztąd cóż za rozmaitość rytmów, miar, wystarczająca na wszelkiego rodzaju potrzeby muzyczne, nie tylko w zakresie liryki, ale dramatu, a nawet epopei. Zbliżano język polski z rossyjskim, w tym samym zupełnie stosunku, co łacinę z włoszczyzną. W istocie, język Rossyjski więcej ma dźwięków powłóczystych, kołysanych, rzecby można wzdychających. Rytmiczność jego osobliwie się do śpiewu nadaje, tak dalece, że niektóre poezye Żukowskiego i Puszkina, zdają się być gotową melodyą; taki *Szal czarny*, taki *Talizman*, naprzykład, czytane głośno, sprawiają od razu wrażenie jakiegoś *arioso*, lub słodkiego *cantabile*.

mał, odnosząc się w tym razie do pewnej szacownej pamiątki z czasów swego dzieciństwa. Byłto mianowicie zegarek, dany mu przez panią Catalani w roku 1820 z następującym napisem: „*Catalani Fryderykowi Szopenowi, mającemu lat dziesięć.*" Zresztą, nic nadzwyczajnego nie odznaczyło życia jego zaczątków. Ponieważ wątły był i słabowity, główną tedy uwagę skierowano na jego zdrowie. Od tegoto czasu zapewne nabrał nawyknienia do tej łagodności w obejściu, i także do owej swobody powierzchownej, a zwłaszcza przezornego cierpień swych tajenia—co wszystko wyrobiło się w nim w chęci rozpraszania obaw, które każdej chwili obudzał. Bo zresztą żadne inne uzdolnienie przedwczesne, żadna zapowiednia wyjątkowa potężnego rozwinięcia, w pierwszych jego latach, nie zdradzały w nim przyszłej wyższości. Dziecię to cierpiące, zawsze tylko dziwnie cierpliwém i uśmiechniętém widziano, i z tego ceniąc w niém, że ani było przykre ani o sobie myślące, sądzono pewnie: że to już wszystko, czego się od jego serca i umysłu nadal spodziewać było można. Tymczasem są takie dusze, które przy pierwszym wstępie w życie, na podobieństwo zamożnych wędrowców, zabłąkanych przypadkiem pomiędzy wieśniaczą prostotę, gospodarzy swych obdarzają datkami, niemal niemającemi wartości w stosunku do ich bogactwa, przy skromnych jednak wymaganiach tych ludzi, zdolnemi podziwienie w nich obudzić, a nawet wielce ich uszczęśliwić. Dusze podobne, w istocie dają z siebie więcej, niż im samym dać może to, co ich otacza—ztąd całkowite z nich zadowolenie; mniemamy bowiem że postępują sobie wspaniale—tymczasem naprawdę daleko one więcej w sobie utaiły i więcej samym sobie zatrzymały skarbów, niźli wyniesie to, co na pozór bardzo hojnie drugim rozdały.

Obyczaje w pośród których wzrósł i rozwijał się Szopen, niby w gnieździe trwałém oraz i mięciuchném, przedstawiały obraz życia domowego zgodny, spokojny, pracą zajęty; ztąd przykłady te prostoty, głębokiej wiary i dobrego wychowania, zawsze zachował w najsłodszej pamięci. Ciche cnoty, pobożne nawyknienia, miłosierne uczynki, skromność, obowiązków zamiłowanie, wcześnie owionęły go czystém, ciepłém tchnieniem, w pośród którego wyobraźnia jego, w ten niby nieskalany puch porosła, jaki napotykać się zdarza u roślin, których nigdy nie dosięgła uczęszczanych gościńców kurzawa.

Muzyki zawczasu uczyć go poczęto. W dziewiątym roku życia już pobierał jej początki; następnie powierzono go jednemu z najnamiętniejszych uczniów Sebastyana Bacha, niejakiemu Żywnemu, który przez długie lata, według zasad najsurowszego klassycyzmu, umiejętność muzyczną mu wykładał. Przypuszczać się godzi, że jednak w owym czasie, ani Szopen przyszłej swojej sławy nie roił, ani też rodzina jego żadnych na tém wygórowanych nie budowała nadziei. Poprostu, na to jedynie sumienną i poważną wpajano mu naukę, ażeby mógł być biegłym drugich nauczycielem; o to zaś wcale nie wiele tam chodziło, czy większy, czy też mniejszy będą miały rozgłos jego w tym względzie usiłowania, cóż dopiero dalszy samodzielny postęp.

Wkrótce oddany został do szkół, tą razą dzięki zacnemu zajęciu się nim Księcia Antoniego Radziwiłła, wielkiego znawcy sztuki, który bystrém okiem odgadywać umiał talenta, całém zaś szlachetném sercem swojém w pomoc im przychodzić. Mąż ten niepospolity, nie jak prosty lubownik muzykę uprawiał — był to, jak wiemy, kompozytor także niepośledni. Jego *Faust* w Berlińskiej akademii śpiewu, co pewien przeciąg czasu wykonywany, niezmierną swoją z duchem poematu zgodnością, wydaje

mi się o wiele wyższy od wszystkiego co w tym przedmiocie kiedykolwiek probowano. Tedy, jakeśmy to powiedzieli, przychodząc w pomoc niewystarczającym na to środkom rodziny Szopena, książe całkowicie młodzieńcem się zajął—niczego bowiem w należytém wykształceniu umysłu jego nie zaniedbał. Od czasu wejścia jego do szkół, aż do ich ukończenia, onto w szlachetném poczuciu wszystkiego, co rozwinięciu artysty potrzebném być może, wydatki za niego ponosił, używając w tém pośrednictwa pana Antoniego Kożuchowskiego, który też odtąd, aż do ostatnich dni jego życia, stałej przyjaźni Szopenowi dochował.

O tym ustępie życia Szopena mówiąc, niech nam wolno będzie przytoczyć w dalszym ciągu kilka rysów obcej ręki, daleko trafniej, zdaniem naszém, postać jego odtwarzających, niźli inne niejednokrotne w tym przedmiocie usiłowania; te bowiem najczęściej sylwetki tylko mało wyraźne sprawiają wrażenie, a ta jeszcze zarysowana jest niby na sprężystej tkaninie, którą we wszystkich kierunkach, to skracać, to przeciągać można.

„Łagodny, uczuciowy, ze wszech miar wytworny, „w piętnastu leciech posiadał wszystkie wdzięki młodości, „a oraz wieku dojrzałego powagę. Pozostał także równie „ciałem jak umysłem delikatny. Ten przecież brak fi„zycznego rozwinięcia, dał mu zachować pewien rodzaj „piękności, niemającej, rzec można, ni płci, ni wieku. „Nie byłato postać butna i męzka potomka owych możno„władców, którzy umieli tylko ucztować, polować, i wal„czyć—ale też i nie zniewieściała powierzchowność różo„wego gładyszka. Było to cóś raczej na podobieństwo „owych idealnych wytworów, któremi legendowa poezya „średniowieczna lubiła przyozdabiać gotyckie świątyń „przedsionki. Niby anioł, wysmukłych w sobie a prze-

„czystych olimpijskich kształtów, z piękném zasmuconej
„kobiety obliczém, na którém grał jednocześnie wyraz tkli-
„wy i surowy, dziewiczy i namiętny.

„Taka też była zasada jego istoty. Nic spokojniej-
„szego a zarazem więcej rozbujałego jak jego myśli; nic
„stalszego, nic wyłączniejszego, nic drobnostkowiej po-
„święconego, jak jego uczucia... Ale też rozumiał on to
„tylko, co było ściśle—rzec można—nim samym... reszta
„wydawała mu się tylko snem jakimś przykrym, od które-
„go uciekał w zajęcia codzienne. A przecież, marząc chę-
„tnie—rzeczywistość ile mógł odpychał. Dzieckiem, noża
„nie mógł wziąść do ręki, by się nie skaleczyć; człowie-
„kiem, nie mógł się znajdować w obecności kogoś oboję-
„tnego aby się zaraz nie uraził boleśnie, tém żyjącém
„przeciwieństwem.

. . . . . .

„Od nieustającego ścierania się ochraniało go dobro-
„wolne i niebawem niczém już niewykorzenione nawy-
„knienie ani spostrzegania, ani słuchania tego, co bezpo-
„średnio z osobistemi jego uczuciami nie było w styczno-
„ści. Kto tylko nie tak jak on myślał, stawał się w oczach
„jego rodzajem widziadła. Zresztą, do wysokiego stopnia
„był grzeczny, i nieraz to, co za uprzedzającą uprzejmość
„u niego brano, bywało tylko zimną pogardą, jeśli nawet
„nie najzupełniejszym wstrętem.

. . . . . .

„Rzadką chwilę wynurzenia opłacał godzinami całe-
„mi zamknięcia się w sobie. Przyczyny tego zanadto sub-
„telne były, zanadto może niewyraźne, aby je gołém okiem
„badać. Chybaby przez drobnowidz spoglądać w tę du-
„szę, w którą tak mało przenikało światłości żyjących...

„Dziwnie to, że przy podobném usposobieniu mie-
„wać mógł przyjaciół. Tak jednak było. Należeli do

„nich nietylko matce jego życzliwi, którzy w nim oceniali
„godnego syna najgodniejszej z kobiet, ale i wieku jego
„rówiennicy, wielce do niego przywiązani i przez niego
„też wzajemnością płaceni... Wysokie miał o przyjaźni
„pojęcie; w wieku też złudzeń wierzył mocno: że równie
„on jak i jego towarzysze, w tychże co on surowych wy-
„chowani zasadach, wiecznie przy tych samych pozostaną
„przekonaniach i nigdy pomiędzy sobą w sprzeczności nie
„będą...

„Powierzchownie, skutkiem starannego wychowania
„a także wrodzonego sobie wdzięku, tak sympatyczny
„wyglądał, że miał dar podobania się nawet tym co go
„nie znali. Już sam pociągający wyraz twarzy dobrze
„o nim uprzedzał; delikatność jego ustroju jednała mu ko-
„biet współczucie, wykształcenie zaś umysłu, łagodna
„i pochlebna jego rozmowa, zwracały na niego uwagę
„najwięcej nawet wymagających ludzi. Mniej głęboko
„sięgający, smakowali sobie w wytwornej jego grzeczno-
„ści, którą tém pewniej za dobrą brali monetę, im mniej
„rozumieli w ducha swojego prostocie, że to było tylko
„u niego zimnego obowiązku spełnianie i że tam pociąg
„serca wcale w rachubę nie wchodził. Tacy, gdyby go
„przeniknąć byli zdolni, powiedzieliby o nim, że to czło-
„wiek raczej dający się kochać, niż sam kochający—i jak
„w tym razie, mieliby słuszność. Choć znowu, jak tu
„mniemać co podobnego o kimś, którego rzadkie co pra-
„wda przywiązania, tak jednak żywe bywały, tak głębo-
„kie i tak nie do odrzucenia?....

. . . . . .

„W szczegółach codziennego pożycia, do wysokiego
„stopnia był powabny. Obejście jego posiadało wdzięk
„niezrównany, i jeśli bywało wdzięczność swą wyrażał,

„czynił to z tak głębokiém wzruszeniem, że można powie-
„dzieć: uczucie przyjazne lichwą spłacał.

„Był przekonany: że lada dzień żyć przestanie—w tej
„też myśli całém sercem przyjmując troskliwość przyja-
„ciela, starannie jednak przed nim ukrywał: jak dalece,
„zdaniem swojém, czas już niedługi korzystać z niej bę-
„będzie. W tym względzie powierzchownie zdawał się
„nawet wielką mieć odwagę, i jakbądź przekonania o bli-
„zkiej śmierci młodzieńczą nie zbywał niedbałością, nie-
„mniej z pewną gorzką roskoszą spełnienia swych prze-
„widzeń czekał."

. . . . . .

Do tychto wczesnych lat jego młodości odnieść należy przywiązanie, jakie powziął ku pewnej młodej osobie, która też odtąd nie przestała dziwnie go uwielbiać. Burza, która w jednym z silniejszych podmuchów porwawszy Szopena, niby ptaszę na wątłej zamyślone gałązce, znagła go gdzieś daleko od swoich uniosła, rozerwała też od razu i tę miłość wiosenną, zarówno poświęconej pozbawiając go towarzyszki, jak i słodyczy pobytu w rodzinnej zagrodzie. W dalszém też życiu, szczęścia tego, które w połączeniu z ukochaną sobie obiecywał, nie napotkał już więcej — nawet w chwale, o której naonczas może jeszcze i nie marzył. Ukochana ta jego, piękna i słodka była, na podobieństwo jednej z tych dziewic Luiniego, których spójrzenie tkliwie jest poważne. Spokojną pozostała, ale i smutną, tém smutniejszą zapewne, ile że wiedziała: że też niczyje inne przywiązanie nigdy istnienia nie osłodziło temu, któremu sama jedna czuła się zdolną poświęcić życie, z tą przeczystą wyłącznością, z tém oddaniem się prostoty i zarazem szczytności pełném, która kobietę przemienia w anioła.

Niewątpliwie istnieją kobiety, które przygnębione, że tak powiemy, tyleż pięknemi ile i zgubnemi darami geniuszu, nie mogąc czy nie umiejąc dla miłości zaniedbywać trosk około własnej chwały, mają niejakie prawo granice stawiać zaparciu się własnej osobistości; ale zdarzyć się też może: że nie jedna w obec najświetniejszych w tym razie cudzych obietnic, sercem pożałuje tych wzruszeń boskich, które bezwzględnym zawdzięczają się poświęceniom; bowiem oddanie się komu wybranemu, niejako wchłaniając kobietę, z całą jej odrębnością i wolą aż do jej nazwiska, w istność tego którego pokochała — samo jedno upoważnić go może do niezachwianego w ostatniej życia chwili przekonania: że życie swoje na połowę z nią podzielił i pomieniał, i że jej siebie samego oddał część niepożytą, jakiejby jej dać nie mógł nikt inny pierwszy lepszy—to jest cześć swego imienia, serca spokój biorąc od niej w zamian.

Niespodzianie z Szopenem rozłączona, młoda ta osoba pozostała zawsze wierną jego pamięci, równie jak i wszystkiemu co jej po nim pozostało. Rodzicom jego stała się córką wylaną. Niegdyś w dniach lepszych, wyrysowała była portret Fryderyka. Otóż ojciec jego nigdy go nie chciał zastąpić innym, choćby nawet bieglejszą wykonanym ręką. W lat już wiele potém, widziałem sam: jak blade lica tej kobiety zasmuconej, niby przezrocze alabastrowe w obec uderzającej na nie światłości, rumieńcem zwolna się powlekały, kiedy w ten portret topiąc spojrzenie, wzrok ojca razem napotykała.

W szkołach, swoboda i łatwość charakteru niebawem zyskały Szopenowi przyjaźń nie jednego współtowarzysza; do tych ostatnich należał osobliwie książe Borys Czertwertyński, równie jak i jego bracia. Bywało na święta i na wakacye, zabierali go na wieś do swojej

matki, księżny Ludwikowej, osoby wysoce w muzyce wykształconej; ona to pierwsza przeczuła w Szopenie poetę. Ona też jedna z pierwszych, wtajemniczyła go w roskosz artystyczną polegając na tém, żeby nie tylko dać się słyszeć, ale zarazem i kazać się słuchać. Była jeszcze piękna, i posiadała umysł wyższy w połączeniu z rzadkiemi serca przymioty; przyjęcia u niej należały do najświetniejszych i do najwięcej uczęszczanych w Warszawie. Szopen miał sposobność spotykać tam najznakomitsze damy, będące naonczas ozdobą stolicy, najpowabniejsze też piękności, w Europie nawet z wdzięków słynne, za czasu, kiedy Warszawa w istocie z blasku i wytworności salonów swoich po świecie znaną była. Za pośrednictwem księżny Czertwertyńskiej, niebawem miał też zaszczyt przedstawionym być księżnie Łowickiej, u tej zaś znalazl sposobność zbliżenia się do hrabiny Zamoyskiej, księżny Radziwiłłowej i wreszcie księżny Jabłonowskiej — wszystkoto były pierwszorzędne piękności, które otaczał jeszcze tłum innych, nie tyle już co one świetnych, acz jeszcze pełnych blasku.

Tak bardzo jeszcze młody, nieraz im jednak na fortepianie do tańca towarzyszył. W zebraniach tych czarownych jak schadzki Rusałek, nieraz pewnie znienacka wpośród wiru tanecznego, pochwycić miał sposobność i na własność sobie wykraść niejednę tajemnicę tych serc, płomiennych oraz i tkliwych; nieraz bez trudu też pewnie czytać mógł w głębi tych dusz, które się z takiém przyjaźni wylaniem ku jego młodości pochylały, i tam zbadać swobodnie: z jakiego to stosunku drożdży i różanego ciasta, palnych żywiołów i łez anielskich, urobiony jest ideał poetyczny owej warstwy towarzyskiej. Podczas kiedy roztargnionemi palcami po klawiszach biegał, dobywając z nich ni ztąd ni z owąd przeszywające do głębi akordy, mógł też i zauważyć: w jaki to sposób ukradkiem biją łzy do oczu zakochanym dziewczętom, albo młodym kobietom zdradzonym, lub jakim blaskiem zapala się wzrok młodzieńca żądnego miłości i zazdrośnego chwały. A może i nieraz się zdarzyło, że niejedna panienka, poprosiwszy go o skromne *preludio*, główkę rozmarzoną na drobnej rączce tuż obok wspierając, niemym wzrokiem uczyła go na pamięć tkliwej serduszka własnego piosenki. Albo też znowu, podbiegając ku niemu pierzchliwych tanecznic gromadka, z prośbą aby im walca jakiego, dziwnie zawrotnego zagrał, wiankiem go zewsząd czarodziejskich otoczyła uśmiechów, które go uczyły do ich roskosznej wesołości się nastrajać. Tam to on po raz pierwszy z głębszém podziwiał zastanowieniem całą wdzięku wspaniałość, jaką w mazurze kobiety jego kraju rozwijać umieją, ztamtąd też na zawsze niezatarte wyniósł wspomnienie, równie porywającej ich w tym tańcu ochoty, jak i skromności uroków.

Nieraz opowiadał, z pozoru niedbale, ale z tém mimowolném i głuchém wzruszeniem, które wspomnieniem pierwszych zachwytów towarzyszyć zwykło: że zrozumiał od razu, ile melodye i rytmy tańców narodowych mieścić w sobie mogą uczucia, i w jaki to je sposób wyrażać należy, — że zrozumiał to wszystko dopiéro w dnie inne całkiem—kiedy wpośród czarodziejskiej zabawy ujrzał w całym jego blasku owo wytworne pięknych kobiet zbiorowisko, strojne w te tysiące olśnień zalotnych, które wszystkie serca ku sobie wabiąc, miłością je oślepiają i unieszczęśliwiają—wspaniałością aksamitów weneckich zastępujące indyjskie muśliny, o których Grek by powiedział, że są z powietrza utkane—dumną zaś klejnotów okazałością wonne ich cieplarni róże i kamelie;—i że mu się wydało, że przy hucznych orkiestry dźwiękach, daleko

mniej się one szybko przewijały po posadzce, że uśmiechy ich wtedy mniej dźwięczne były, spójrzenia o wiele mniej promieniste, znużenie zaś szybsze nierównie, niż bywało w owe skromne wieczory, kiedy na jedno jego skinienie, udzielała się każdemu chęć do tańca,—przeto że znagła wszystkich wolą swoją wstrząsnął. Ale jeżeli cóś podobnego mógł sprawić, nie czém inném się to działo, jak tylko: że posiadał hieroglificzną rzec można dźwięków umiejętność, łatwo jednak wtajemniczonym przystępną, którą mu dało podsłuchanie powściąganych, a niemniej namiętnością wezbranych poszeptów tych serc, coto jak *fraxinelle*, kwiaty mają być wiecznie subtelnym a dziwnie palnym otoczone gazem. Z jej to pomocą, po przez to rozrzedzone dokoła nich powietrze, dojrzał on w ich wnętrzu: i złudzeń znikomych i niebiańskich widzeń, z czego też odgadł zaraz: jaki to rój namiętności bez ustanku tam brzęczy, jak to się tam one wałęsają nieustannie, w każdej chwili gotowe, to się zmierzyć z sobą, to się porozumieć wzajemnie, to się znów udręczyć, jakbądź najmniejsza wewnętrznych działań tych poznaka, ani na chwilę nie psuje szlachetnej pozornego spokoju i swobodnego obejścia harmonii. W ten sposób, nauczył się on w wysokiém mieć poważaniu szlachetne i staranne wychowanie, osobliwie kiedy mu żywość uczuć niemałego dodaje wdzięku, a zwłaszcza pomiarkowania, niedopuszczającego aby wykwintność w przesadę przeszła, światowość wyrodziła się w uciążliwe jarzmo, dobroć smaku w pedanteryą — niedozwalającego też namiętnościom ażeby, jak to bywa, podobnemi się stały do tych wytworów roślinnych twardych a kruchych, które smutnie przezwano kwiatami z żelaza: *flos ferri*.

Te pierwsze spostrzeżenia jego nad światem, kędy form jednostajność nie koniecznie ukrywa pod spodem

serca skamienienie, nazwyczaiły Szopena do przekonania, że to co się tam godzi, a co się nie godzi, zamiast do jednego wspólnego mianownika sprowadzać osobistość wszelką, przeciwnie, służy tylko do poskramiania namiętności bez ich przygniatania, do pozbawienia ich tylko surowości tonów, która je do pospolitości zniża, realizmu który je wstrętnemi czyni, gwałtowności, która je zużywa, rozpasania, które je o znużenie przyprawia—i do wpojenia w umysły tych, co radzi niepodobieństwom hołdują: ażeby się starali kojarzyć w sobie cnoty, które świadomość złego w duszy zasiewa, z temi które dają zapomnienie własnego istnienia na korzyść tego co się ukochało. Pierworodne te młodych lat widzenia, w miarę stopniowego w głębię wspomnień jego zapadania w oczach mu coraz mocniej piękniały, co chwila w uroki nowe bogaciejąc owszem, tém potężniej jeszcze ku sobie go ciągnąc, że żadna sprzeczna z niemi rzeczywistość ani ich zniweczyć, ani im kłamstwa zadać nie była w możności; starannie bowiem zawsze odpychał od siebie wszystko, co tylko zbyteczną w obejściu towarzyskiém mogło być swobodą, co tylko surowizną było lub zapamiętałą żądzą wychylenia aż do mętów czary fantazyi, lub wreszcie upędzaniem się szaloném za wszelką bez wyboru sposobnością wyżycia z siebie boskich ducha darów,—co wszystko razem wreszcie aż do przesytu napotykałeś w tém dziwném, a niesłychanie ruchliwém społeczeństwie, które swojego czasu *cygaństwem* zwano.

I jak się to już nieraz wydarzało, że dnia pewnego przychodzi wieszcz, który w sobie jednym poczucie poetyczne całego narodu lub epoki streszcza, w dziełach zaś swoich typy powszechnie pożądane odtwarza, tedy powiedzieć można: że właśnie Szopen takim był dla kraju swego i dla chwili, w której żył kunsztmistrzem. W istocie,

w wyobraźni on swojej skupił w jedno, geniuszem zaś całe to uczucie poetyczne wypowiedzieć potrafił, które naonczas rzec można, w powietrzu grało. Niejednego tam wyliczyć można wielkiego poetę—są nawet tacy, którzy godni by byli zająć miejsce pomiędzy świata całego znakomitościami. W owym czasie, więcej jeszcze niż kiedy, usiłowali oni uwydatnić przeszłości ducha, a razem współczesnych o tém pojęcia żywe; to znowu malownicze a wzruszające zarysy ziemi i jej obyczaju. Szopen jednak w tém się od nich różniąc, że sobie wyraźnego z tego nie zrobił zadania, o wiele ich jeszcze przewyższa samoistną twórczością. Nie przemyśliwał on ostatecznego w tym względzie wpływu — jedném słowem nie wybrał sobie ideału *a priori*. Jedynie przypomniał sobie przeszłość nie usiłując się w nią przenosić; zrozumiał tylko i w pieśni utrwalił miłości i łzy swoich współczesnych, wcale ich z góry pod rozbiór nie biorąc. Ani się starał, ani wysilał muzykiem być swego kraju. Bardzo jest możebne, iżby się nawet zdumiał, gdyby go tak nazwano. Jak każdy poeta prawdziwy, śpiewał bez powziętego wcześnie zamiaru, bez obmyślanego wyboru to, co mu samo z siebie podsunęło natchnienie, i tym to właśnie a nie innym sposobem, w pieśniach jego, niemal bezwiednie, wykreśliły się w najidealniejszych jak być może zarysach wzruszenia, które kołysały jego dziecinne lata i młodość jego opromieniały — zaczém i owo wszelkich takich wzruszeń urzeczywistnienie, które każdy z jego ziomków dla tego odczuwa, że je podobnież we własnej duszy nosi. Poprostu, nawet się o to nie starając, w jeden pęk świetlisty zebrać potrafił wszystko, czego tam nikt wyraźnie dla siebie wziąść nie może—własność to bowiem ogólna, do której każdy równe ma tylko prawo. Tak więc, nie jestże w szerszém nierównie znaczeniu, narodowym pieśniarzem

taki, który miał osobliwszą własność czy umiejętność zrobienia dostępném całemu światu tego, co inaczej, w szczupłym tylko zakresie odczutém być mogło?

Ponieważ nie bez słuszności pilnie się zaprzątnięto czasy temi około zbierania pieśni ludu, wydaje mi się tedy rzeczą niemniej ważną zastanowić się pokrótce nad charakterem, jaki w tym kierunku przyjąć może nie jeden geniusz miejscowy, któryby w źródle tém czerpać zrobił sobie zadanie. Po dziś dzień, małoby jeszcze wyliczyć można głośniejszych światu kompozycyi, któreby wychodziły poza obręb przyjętego powszechnie na muzykę włoską i niemiecką podziału; jest przecież do przewidzenia: że przy ogromnym sztuki tej w ogóle w czasach naszych rozwoju (dążącej nawet może do swojej epoki *odrodzenia*), niebawem przyjdą zapewne twórcy; których dzieła wyróżnią się zpośród innych piętnem samoistności, stosownie do warunków miejscowych, plemiennych, nawet klimatycznych; wtedyto równie tam jak już i w innych dotąd sztukach, w dziełach mistrzów dokładnie rozróżniać będzie można wpływy ojczyste, a zwłaszcza owe odbłyski ludowego ducha, nierównie kunsztowniej uzupełnione, nierównie poetyczniej prawdziwe, a ztąd i tém ciekawsze do badania, niż to dotąd ma miejsce w przypadłościowych, niepoprawnych, niepewnych i dziwnie chwiejnych objawach prostaczego natchnienia.

W tym względzie Szopena zaliczyć można do najpierwszych muzyków, którzy w ten właśnie sposób uistotnili w sobie zmysł poetyczny swego narodu—wszakże bynajmniej nie dla tego tylko: że do utworów swoich użył rytmu polonezów, mazurów, lub krakowiaków, lub że je w taki sposób, a nie inny nazywał. Gdyby był tylko bez końca te jedne formy mnożył, nie wkładając w nie nic innego, jak jedynie przypomnienia wiecznie tejże natury,

wprędce stać się mógł monotonnym, że już nie powiemy oklepanym i ckliwym. Że zaś imię jego słynie szeroko, jako wyłącznie polskiego pieśniarza, to zawdzięcza on temu jedynie, że jakiejkolwiek kiedy formy użyć mu się zdarzyło, w każdą wprowadzić musiał sposób czucia i środki jego wyrażenia takie, jakie powszechniej w kraju się jego spotyka, niż gdziekolwiek indziej. *Preludia* jego *Etiudy*, ale osobliwie *Nokturna*, *Scherza i Koncerty*, słowem równie najkrótsze jak i najrozleglejsze kompozycye, odznaczają się tymże samym rodzajem uczuciowości, w najrozmaitszych wypowiadanej natchnieniach, ogrywanej i przerabianej w tysiące sposobów—ale zawsze jednej i ściśle samodzielnej. Geniusz natury wyłącznie podmiotowej, Szopen wszystkie utwory swoje témże samym ożywiał istnieniem—to zaś istnienie było własném jego życiem. Wszystkie zatém jakiebądź jego pomysły, spaja koniecznie jedność ogólna, a z tej wypada: że równie wszelkie piękności ich jak i wady, są tylko wypływem jednego i tego samego ładu wzruszeń, tegoż wyłącznego, że tak powiemy, trybu uczucia, co jest niezaprzeczenie naczelnym a niezbędnym warunkiem powodzenia podobnych utworów u tych, których serca zawczasu w tym samym dostrojone są sposobie.

Dołożyliśmy wszelkich starań, ażeby określić z pomocą słów a obrazów wrażenia, odpowiednie tej wytwornej a oraz dziwnie drażliwej czułostkowości, która zarówno płomiennym, jak płochym sercom, zarówno wyniosłym, jak i do głębi rozdartym duszom, właściwą się przedstawia. A jednak, ani sobie pochlebiać śmiemy, ażeby nam się to choć w części udało. Zresztą, zapewne to i niemożebne. Mowa ludzka wyda się zawsze mdłą, pospolitą zimną i twardą, ile razy wyrazić nią zechcemy potężne jakbądź słodkie zarazem wzruszenia, dla których wszelka inna sztuka dokładnym okaże się być tłómaczem;

ztąd nie bez przyczyny to powiedziano: „że ze wszystkich sposobów wypowiadania uczucia, słowo jest najmniej wystarczającém potrzebie.“ Tak jest—wątpliwości nie ulega: żeśmy tu ani w setnej części nie dosięgli owej delikatności pendzla, jakaby jedna mogła dać pojęcie tych u Szopena niezrównanych dotknięć — bowiem u niego wszystko pyłkiem się być wydaje,—wszystko, bo aż do objawu gniewnych uniesień; owszem, nigdzie ani śladu nawet swobodnych sobie, prostych, przygodnych popędów; daleko pierwiej zanim na świat wyszły, już je troskliwie przesiano poprzez wytwornej wyobraźni oczka, tej niełatwej w wyborze a wymagającej, która je stosownie podobierała, a następnie dopiéro umiarkowanym wyrzuciła ruchem. Wszystkie też one, do pochwycenia bystrości nie lada potrzebują—do wypowiedzenia ich także, delikatności niemałej. Wszakże te właśnie niepośledniém w obu tych razach mistrzostwem, Szopen pierwszorzędnym stał się na świecie artystą. Otóż jedynie długo i cierpliwie go studiując, jedynie krok w krok myśl jego poprzez tysiączne jej rozgałęzienia śledząc, dochodzi się wreszcie do tego, że się nie tylko pojąć jest zdolnym, ale i dostatecznie ocenić: z jak przedziwną sztuką umiał ją widzialną zrobić i dotykalną — jakbądź przez to ani ją ociężył, ani wyziębił.

Tak był wyłącznie i na wskroś przesiąkły uczuciami, których typy z czasu młodości swojej, najzacniejsze, jak sądził, pamiętał—z tych zaś uczuć, to które osobliwie w sztukę przenosić lubił, tak nieodmiennie z jednego i tego samego stanowiska oglądał—że te jego uprzedzenia w wyborze, koniecznie w tém co tworzył odzwierciadlać się musiały. W arcydziełach cudzych, jako i w wiekopomnych wzorach, szukał też wyłącznie tego, co naturze jego odpowiadać mogło. Chwalił, jeśli się tam co

do niej choć trochę zbliżało; tego zaś co z nią było w sprzeczności, niemal nie uznawał. Jednocześnie, łącząc w sobie sprzeczne zwykle przymioty namiętności i wdzięku, już tém samém posiadał wielką sądu pewność, która go od tuzinkowej stronności strzedz była powinna; a przecież, bywało, milczeniem pozbył nieraz najcelniejsze piękno, równie jak i najniewątpliwszą zasługę, jeśli tylko którąkolwiek poetycznej twórczości jego stronę urażały. Jakbądź w ogóle wielkie miał dla dzieł Beethovena poważanie, niemniej tu i ówdzie cóś mu się zanadto z gruba ciosane wydawało; budowę też ich nieraz nadto atletyczną znajdował, uniesienia zbyt rozpasanemi, namiętności kataklizmu już blizkiemi; ten, że tak powiem, szpik lwi, który tam każde myśli wyrażenie przenika, dla niego zbyt pożywną był strawą; seraficzne zaś w Rafaelowskim stylu profile, wynurzające się zpośród przepotężnych geniuszu tego pomysłów, chwilami swém przeciwieństwem krzyczącém niemal, rzec można, przykre mu były.

Pomimo wdzięku, który pewnym Szuberta melodyom przyznawał, niezbyt chętnie znowu słuchał takich, których zarysy dla jego ucha nazbyt ostre były, w których uczucie jakby obnażone wygląda, w których czujesz niejako drganie członków i trzeszczenie kości pod naciskiem bolu. W ogóle, wszelka szorstkość dzika wstręt w nim obudzała. W muzyce, równie jak w literaturze, jak i w życiu codziennem, wszystko co się tylko do melodramy zbliżało, srogiém mu było utrapieniem. Z równą zaciętością, jakbądź romantyk z przekonania, odpychał od siebie wszystko, co mu się nazbyt zdyszaném lub rozczochraném wydawało—ani bowiem oszołomienia efektami, ani gorączkowych nadmiarów nie znosił. „Szekspira, jeśli lubił, to „tylko z silnemi zastrzeżeniami. Znajdował: że u niego „charaktery nadto żywcem wykrawane bywają—że prze-

„mawiają nazbyt prawdziwym językiem. Nad ich działa-„wcze popisy, przekładał raczej ustępy, w których synte-„za liryczna w epopeję przechodząc, w cieniu pozostawia „nędzne przeznaczeń ludzkich szczegóły. Z tychże po-„wodów bywało: że sam się mało odzywał, mniej zaś „jeszcze drugich słuchał—a to dla tego, ażeby wtedy do-„piéro własną myśl objawić lub cudzą uznać, kiedy zna-„lazł, że się już dostatecznie do pewnej miary podniosły."

Natura ta, tak wytrwale umiejąca sobie samej panować, tak pełna delikatnych przemilczeń, w tak bystre zbrojna jasnowidztwo, że to jej dozwalało przerwane w połowie słowa, lub niedomówione myśli sobie dopełniać,—natura podobna, powiadam, w obec bezwstydu niepozostawiającego nic do domyślenia, wypowiadającego z siebie wszystko aż do kropek nad jotami, koniecznie dotkliwego doświadczać musiała wrażenia—i myślę nawet: że gdyby kto był kiedy Szopena o zdanie spytał w tym względzie, niezawodnie usłyszałby odpowiedź: że w istocie, jeśli się ma godzić człowiekowi uczucie swoje głośno wyrażać, to jedynie pod warunkiem, że część ich lepszą do odgadnięcia pozostawi. Jeśli tak zwany w sztuce klassycyzm zdawał mu się nazbyt twarde geniuszowi narzucać ograniczenia—jeśli nareszcie nie wytrzymał więcej w jego pętach ziębiących, ani się dłużej dał zamykać w symetrycznych ciasnej klatki wymiarach—to jedynie dlatego, ażeby mógł jak skowronek ku obłokom się wzbiwszy, bliżej nieba pieśń swą nucić, i tam wśród wiekuistej błękitów pogody, ku ziemi już ani na chwilę nie wracając, spoczynkiem się nawet pokrzepiać, na podobieństwo ptaka rajskiego, o którym mówią, że jedynie na skrzydłach zwieszony, podczas kiedy go wiatru powiewy kołyszą, marzeniem błogiém usypia. A przecież niemniej uparcie od manowców leśnych uciekał, kędy wycia tylko

i zawodzenia dzikie słyszysz, jak i od płonnych po stepowiskach bezdroży, gdzie próżno szlak jakikolwiek dla następców wydeptywać,—od tego bowiem wicher przeniewierczy, ażeby tchnieniem bezładném, nieprzydatne nikomu piaski bez końca przerzucał.

Równie mało cenił to, co w muzyce włoskiej swobodném jest, światłém, od pedanteryi wolném, jak i to, co w niemieckiej znowu prostactwem energiczném, jakbądź potęgi pełném bywa. Z powodu Szuberta, dał się słyszeć kiedyś w sposób następujący: „Cóż po szczytności, jeśli zaraz po niej oklepanka lub tuzinkowość idzie?" Hummel był jednym z kompozytorów, którego sobie z największą odczytywał przyjemnością — z szerszych zaś twórców Mozart był w jego rozumieniu najidealniejszym typem poety, właśnie z tego powodu, że jak najrzadziej do upodobania tłumów dostojeństwo sztuki zniżał. Nadewszystko cenił w nim to, co mu kiedyś po wystawieniu *Idomenesa* ojciec był zganił, mówiąc: „trzebaż tam było włożyć cóś także i dla oślich uszu." Wesołość Papagena, dziwnie do jego własnej przypadała wesołości; miłość Tamina i tajemnicze jej próby wydawały mu się godnemi takiego jak Mozart umysłu; bawiła po Zerlina wyrachowaną swoją prostotą, podzielał sercem pomsty Donny Anny, te bowiem tém grubszemi zasłony obrzucają jej żałobę. A przecięż wyszukanym sybarytyzmem nad miarę może grzesząc, w Don-Juanie nawet, w tém nieśmiertelném arcydziele — wytykał jeszcze miejsca, które na własne swoje uszy słyszałem: jak ganił. Nie powiem: żeby przez to Mozartowi czci swej miał umniejszać—poprostu tylko, w razach podobnych, z jego powodu, niby zmartwienia doznawał. Umiał bowiem zapomnieć to co mu wstrętném było; ale pogodzić się z tém żadną miarą nie mógł. Zdawałoby się: że w tym razie ulegał tylko smutnym warunkom

w jakich się znajduje nie jedna wyższość, w obec której żaden wysiłek przekonania, choćby najpotężniejszy, nie zdoła od niej choćby obojętność uzyskać dla przedmiotów tyle jej niemal nienawistnych, że to już zakrawa na idiosynkrazyą.

Równo z nauką w szkołach, pobierał lekcye harmonii od słynnego w Warszawie Józefa Elsnera. Od tego ostatniego przyjął dwie rzeczy najtrudniejsze podobno do wpojenia młodemu, i przeto najrzadziej umiane, a mianowicie: żeby być zawsze względem siebie wymagającym, a oraz nie puszczać odłogiem korzyści, które się tylko cierpliwością a pracą zdobywa. Następnie wyprawiono go w podróż, aby mu dać sposobność słyszenia wybornie wykonywanych dzieł pierwszorzędnych mistrzów. W tym celu, tu i ówdzie w miastach niemieckich gościł czas niedługi. Ale kiedy w roku 1830 znowu w myśli podobnej Warszawę opuścił, zaszłe tymczasem wypadki od kraju go odcięły.

Zmuszony w Wiedniu pozostać, dał tam kilka koncertów. Tej zimy jednak, publiczność wiedeńska, zwyczajnie tak artystom chętna, tak przedziwnie usposobiona słuchać ich i rozumieć, tak głęboko jedném słowem na rzeczy się znająca — jakoś roztargniona była i chłodna. Koniec końcem, nie zrobił tam artysta młody takiego wrażenia, jakiego wyczekiwać wszelkie miał prawo. Opuścił tedy Wiedeń w zamiarze udania się do Londynu, po drodze jednak w Paryżu się zatrzymał—jak sam sądził—na krótko. Na pasporcie nawet na wyjazd do Anglii zawizowanym, podał objaśnienie „w przejeździe przez Paryż." Jednak słowom tym całą swoją przyszłością zaprzeczył. W wiele jeszcze lat potém, kiedy się już był na dobre we Francyi osiedlił, nieraz bywało mówił z uśmiechem: „jestem tu tylko w przejeździe."

Natychmiast za przybyciem do Paryża, dał się kilka razy usłyszeć publicznie; tu już nader żywo go przyjęto. Podziwiał go nie tylko wybór towarzystwa, ale i orszak artystycznej młodzi. Pamiętam dobrze pierwszy jego popis w salonach Pleyela. Grzmiące oklaski, jakiemi go wtedy powitano, nie wydawały mi się jeszcze dostatecznem uznaniem dla tego samorodnego talentu, który w dziedzinie uczucia poetycznego tak cudowne porobił odkrycia, a oraz sztukę na tak nieznane dotąd pchnął tory.

Zupełne to na pierwszym zaraz wstępie zwycięstwo, wbrew zwyczajnym w takich razach kolejom, ani go olśniło ani upoiło; nagrodę swoję przyjął bez dumy, ale też i bez skromności fałszywej — słusznie mu się należała, więc też z jej powodu, jak czynić zwykli tylko trafu ulubieńcy, w dziecinną próżność, się nie wzbijał. Ziomkowie jego, jacy tylko naonczas w Paryżu gościli, z najprzyjaźniejszém jak być może pośpieszyli ku niemu przyjęciem; niebawem też w domu księstwa Czartoryskich był jakby u siebie—także u hrabiny Platerowej, u pani Komarowej, jej córki księżny Beauveau, i tej słynnej Delfiny Potockiej, której piękność, oraz niezrównane rozumu i serca przymioty, arcysłusznie powszechny podziw obudzały. Jej to przypisał on drugi swój *koncert*, ten sam w którym znajduje się *adagio*, poprzednio już przeze mnie wzmiankowane. Nieziemskie wdzięki tej dostojnej pani, jej talent muzyczny, a zwłaszcza śpiew zachwycający, dziwnie go w czarodziejskie koło jej wabiły. Śpiewowi temu, najsłodszemu dla niego na ziemi, znaczono nawet było być ostatnim, który miał zasłyszeć w chwili, kiedy go już niemal nie rozróżniał od zachwytu witających go aniołów.

Żył też w przyjaźni z wielu innymi młodymi ziomkami. Należeli do nich Fontana, Orda, młodzian wielkich nadziei, który zginął w Algieryi w wieku zaledwie lat dwudziestu, Platerowie, Grzymała, Ostrowski, Szembek, książe Kazimierz Lubomirski. Jakbądź i w najświetniejszych paryzkich towarzystwach nadzwyczaj zawsze bywał pożądany; niemniej przekładał nad nie skromniejsze owe kółka, gdzie był między swymi. Tam on niemal w kraju przebywał, ani na chwilę niezaprzestając z nim stosunków, zwłaszcza muzykalnych. Lubił żeby mu przywożono wszystko, co się tylko nowego zjawiło w poezyi; wtedy, jeśli mu się słowa gdzie jakie podobały, dorabiał do nich melodyą, która się szybko upowszechniała, nieraz całkiem bezimiennie. Nareszcie kiedy się już tych pieśni bardzo dużo uzbierało, w ostatnich czasach pomyślał o ich wydaniu. Ale już nie zdążył chęci tej w czyn wprowadzić — a tak wiele się z tego rozpierzchło, i bodaj czy nie całkiem poginęło, na podobieństwo woni owych kwiatów, co to rosną sobie w bezludnej ustroni, aż w tém razu jednego, nieznany, trafem tam zabłąkany wędrowiec, zapachem się ich upaja. W istocie, ja sam w Polsce będąc, zasłyszałem tam nie jednę pieśń Szopenowi przypisywaną, i doprawdy wielce jego myśli godną; ale kto się dziś odważy oznaczyć napewno: co tam jest zbiorowego, a co pojedyńczego natchnienia owocem.

Szopen dość długo od najgłośniejszych znakomitości Paryża na uboczu się trzymał; zawichrzał ciszę jego życia ich orszak hałaśliwy. Swoją też drogą mniej od nich powszechnej obudzał ciekawości; charakter jego bowiem i nawyknienia więcej szukały prawdy niż rozgłosu. Zresztą, umiał nieraz złośliwie do porządku przywołać takich co się pokusili, bywało, talent jego mniej

zgrabnie chcieć wyzyskać. Tak raz się zdarzyło, że po bardzo wykwintnym zkądinąd obiedzie, gospodarz, który jak się zdaje, z góry to gościom swoim przyobiecać musiał, zaprowadziwszy go do fortepianu począł prosić usilnie o zagranie czegokolwiek. Szopen grzecznie odmówił, ale kiedy nalegać poczęto: „Przepraszam pana—rzekł bardzo niby pokornie—ale obiadu pańskiego prawie że nie jadłem."

* * *

W roku 1836, pani Sand wydała nie tylko *Indianę*, *Walentynę*, *Jakóba*, ale i *Lelią*, ów poemat, o którym sama później powiadała: „jeśli mi żal żem ten romans napisała, to dla tego jedynie, że dziś go już nie mam do napisania. Obecnie, w usposobieniu umysłu zupełnie podobném, wielkiejbym ulgi doznała, gdyby mi cóś takiego jeszcze możebném było." (1) W istocie, wodne farby, aż nadto wystarczające do kreślenia obrazów zwyczajnej powieści, mdłemi jej się wydawać muszą po owej osobliwszej uniesienia chwili, w której dłuto i młot ująwszy, z jednej bryły wyciosała ten posąg przez pół olbrzymi, twardy, zimny, ale w wymiarach silnych zewsząd harmonijny, i przez to w swej nieruchomości pomnikowej tak przedziwnie piękny, że długo się w niego wpatrując mniemasz z bolesném wzruszeniem: że się tu cud jakiś, zdziałał wprost wydarzeniu Pigmaliona przeciwny—że owszem Galatea tu jakaś żyjąca z całém swém roskoszném drżeniem, z całém najczarowniejszych ruchów bogactwem, przez sztukmistrza rozkochanego w kamień zo-

(1) Lettres d'un voyageur.

stała zaklęta, i że na to tylko oddech w jej piersi przytrzymał i krew w jej członkach zlodowacił, ażeby tym rozpaczliwym sposobem piękność jej na wieczne czasy utrwalić. W istocie, w obec tej natury, podobnie w dzieło sztuki zmienionej, zamiast cobyś z podziwu miłością uczuł się przejętym, przeciwnie, spostrzegasz tylko ze smutkiem: jak to dalece miłość w podziwienie przejść jest zdolna.

Czarnowłosa i smagła ty Lelio! toćżeś ty się po pustkowiach błąkała krnąbrna jak Kain, jak Lara ponura, z rozdartém jak Manfred sercem, ale o wiele jeszcze dziksza, o wiele nielitościwsza, o wiele więcej od nich niepocieszona—gdyż nie znalazło się ani jedno serce męzkie, tyle przynajmniej zniewieściałe, ażeby się pokochać mogło — ażeby twym wdziękom niekobiecym złożyć się zdobyło hołd ślepego i ufności pełnego poddaństwa, niemego a gorącego poświęcenia—ażeby wreszcie bezwarunkowe posłuszeństwo swoje rzuciło ci pod stopy—osobliwsza amazonko! Bohater-białogłowa, na podobieństwo towarzyszek twoich przedwiecznych, mężna byłaś i bojów chciwa, jak one nie wahałaś się wydać delikatną twarzy twej cerę na pastwę wiatrów i słońc wszelakich, trudami stwardzić członki twe wątłe, i tym sposobem potęgi słabości je pozbawić. Jak one w pancerz nieczuły i krwawiący uwzięłaś się uzbroić tę pierś kobiecą, której równie kształty urocze, jak i jej wnętrza tajemnice ubóstwia człowiek, ilekroć niewinność jedynym jest jej puklerzem...

Stępiwszy dłuto na wygładzaniu rysów tej postaci, której szlachetna rzeczy powszednich pogarda, której wzrok trwogi pełen, ściągniętemi łukami brwi przyćmiony, której włosy elektrycznym falujące dreszczem, przypominają kamee Gorgony, mające groźne chociaż gładkie czoło, usta roskoszne, acz dumnym zatrute uśmiechem,

wzrok zaś, który w osłupienie wprawiał i w piersiach przytrzymywał serca bicie—pani Sand próżno szukała w inną formę przybrać uczucie, które namiętnie bruździło w jej niezadowolonej duszy. Z niezrównanym kunsztem obrzuciwszy w draperye ten swoj wytwór przepyszny, zbiorowisko wszelkich męzkich wielkości, a za to najzupełniej wyzuty z tego, co wielki poeta u samego niebios szczytu stawiąc „wiekuistą kobiecością" (das ewig weibliche) nazwał—tego, co w niej roskosze wszystkie jak i boleści w jedno uczucie miłości nierozerwanie sprzęga;—pozwoliwszy złorzeczyć Don-Juanowi na to tylko, aby był wyśpiewany szczytny hymn do żądzy, przez tę samę, która jak on, odepchnęła od siebie jedyną roskosz, zdolną żądzę nasycić, to jest: zaparcie się siebie;—dalej pomściwszy Elwirę przez utworzenie Stenia;—i wreszcie daleko silniej pogardziwszy mężczyzną, niżeli Don-Juan poniżył kobiety;—pani Sand w *Listach podróżnika*, jęła się kreślić to, że tak powiemy, drgające obezwładnienie, tę ociężałość zbolałości pełną, która ogarnia artystę w chwili, kiedy tenże wcieliwszy w dzieło sztuki dręczące go uczucie, długo jeszcze wyobraźnią mu hołduje, nie mogąc się żadną miarą zdobyć na jaką inną zdolną je wyidealizować formę. Podobne do tych cierpienia poetyckiego ducha, trafnie umiał odtworzyć Byron, kiedy to Tassa wskrzeszając, łzy dziwnie gorzkie wylewać mu każe, nie tyle przeto: że wolność stracił, nie tyle z powodu ułomności własnej a ludzkiej złości—ile raczej: że myśli swojej świat cały w wiekopomnym poemacie zamknąwszy, z jego skończeniem wrócił znowu do rzeczywistości, dotkliwemi go zewsząd opadającej wrażeniami.

W okolicznościach to podobnych właśnie, pani Sand, od jednego z najszczerszych zwolenników, a zarazem i najserdeczniejszych przyjaciół Szopena, coraz częściej

o nim słyszeć poczęła. Nie tylko talent jego muzyczny jej chwalono, ale oraz i wysoce poetyckie usposobienie; słuchając też jego utworów, miłośną słodycz podziwiać w nich musiała. Uderzyła ją jednocześnie i ta w nich niewyczerpana uczucia obfitość, i ta zarazem poufnych serca spowiedzi szlachetna dostojność. Do tego ziomkowie mistrza tyle jej jeszcze o kobietach swego kraju do powiedzenia mieli, z tak wielkim, a tak właściwym sobie, ile razy o rzeczach świętych mówią, czynili to entuzyazmem! To spowodowało: że powoli w tém wszystkiém uwidomił jej się szczytny miłości ideał—kobiecie zabezpieczający niemal cześć boską. Sądziła tedy: że na tym stanowisku, od zawisłości wszelakiej wolna, niższości wszelkiej niedostępna, wziąść może w rękę berło nadludzkiej potęgi, jako zarazem umysł niezłomny i przyjazne serce. Niestety! nie domyślała się pewnie: jak długoletnia to praca boleści, cierpliwości, przemilczeń tęsknych, przebaczeń i odważnych wytrwałości, wytwarzała ten ideał dumny oraz i ukorzony, cudowny w sobie ale i smutny na wejrzenie, tak samo jak bywa bluszcz tysiącem wdzięcznych skrętów zielonych oplatający rumowiska, w których spojenia rdzą wieków przetrawione, wątłe zapuścił korzonki. A przecież, godzi się przyrodzie w nieprzebraném pomysłów jej bogactwie rzucić nieraz zasłonę podobną na rzeczy ludzkich upadek!

Widząc; że zamiast w marmur i w porfir wcielać wyobraźni swej wytwory—zamiast je w karyatydy silne wydłużać, któreby myśl swą niby słońce u zenitu prostopadle na głowy ludziom rzucało—sztukmistrz ten przeciwnie, wszelkiego pozbawiał je ciężaru, owszem rysy ich rozcieńczał, radby nawet w potrzebie wraz z całém budownictwem po nad ziemię je unieść i gdyby można w obłokach zawiesić, niby powietrzne fata-morgany pałace —

pani Sand, niewątpliwie tém więcej ku tym nienamacalnym niemal ideału formom uczuła pociągu, im sama chwilowo od nich dalszą była. Albowiem, jakbądź ramię miała dość silne, ażeby posąg módz wykować; niemniej dłoń też tyle delikatną, że z pod niej nawet owe nieznaczne niemal wypukłości wyprowadzać mogła, które od kamienia zaledwie odstając, wydają się być tylko sylwetki niezatartej cieniem. Obcą też nadprzyrodzonym rzeczom bynajmniej nie była, a przecież rzekłbyś: natura dla niej jednej pasa się cudownego swojego pozbywszy, wtajemniczyła ją w cały swej piękności przemysł. Gdyż wiedzieć trzeba, że ta kobieta znała na palcach wszystkie najniedostępniejsze nawet swej bogini wdzięki—żadnej też łaski jej nie pomijając. Wzrokowi jej, zdolnemu jak największe ogarniać wymiary, zarówno tęczowy pyłek skrzydeł motylich, jak i mikroskopijne liści żyłkowania, przystępnemi były. Ucho jej tyleż chwytało szmer harmonijny przewijających się wśród murawy strumieni, co i przesuwanie się ciche żmii, przytłumioném syczeniem wabiącej kochanka. Umiała ona nietylko ogniki ponad bagnami wypatrywać błędne, ale oraz i miejsca ich pobytu tajemnicze przeniknąć, ku którym, jak to wiadomo, zdradziecko wabią za sobą zapóźnionego wędrowca. Ona też znała na pamięć każdą piosnkę polnego konika, ile ich tylko w zbożu w czas południowy skwierczy, a także po imieniu wszystkie leśne ptaszęta, które tyleż z ubarwienia, co i po śpiewie z łatwością wymieniała. Ani jej tajne były wreszcie przyczyny olśniewających lilii białości, ani pobudki żalów Genowefy (1), tej dziwnej dziewczyny w kwiatach rozkochanej.

(1) André

Bywało, w marzeniach jej nawiedzali ją „duchowie nieznani", przychodząc „ilekroć pełna była rozpaczy na bezludnym brzegu." Niósł ich „potok gwałtowny... w wielkiej zwinnej łodzi." W tę to łódź rzucała się też ona bez namysłu rada, że ją uniesie ku wybrzeżom nieznanym „w ów kraj przywidziany, który rzeczywistość „w sen zmienia, na poły tylko tym jasny, co z lat niemo„wlęcych wielkie perłowe muszle ukochali, a w te myślą „wstąpiwszy, żeglowali tak długo, aż przybyli do wysp „niemożebnych: kędy wszyscy piękni są i młodzi... Wszy„scy w wieńcach, wszyscy z długiemi włosy... z czarami „w dłoniach, z harfami u ramienia.., ze śpiewami na „ustach, które nie są z tego świata... wzajemnie się miło„ścią boską kochając... i kędy wonne wytryski w sre„brzyste się zlewają miednice... kędy błękitne róże w chiń„skich wazonach rosną... kędy zewsząd czarujące są wi„doki... kędy bosą stopą z lekka tylko mchów jak aksamit „miękkich dotykając, wszyscy śpiewają, rozbiegając się „wesoło wśród pachnących krzewów..." (1)

Znała tak dobrze druhów tych nieznanych, że po każdém z niemi widzeniu „bez drżenia serca trwającego dzień cały myśleć o tém nie mogła." Rzecby można, że w fantastycznym świecie Hofmanna była jakby u siebie—i czemużby nie?—ona, która tak dziwne podpatrzyła uśmiechy na portretach nieżyjących już ludzi (2)—ona, która wiedziała na jakich to skroniach, słońce, smugami kurzawy świetlanej, poprzez gotyckie przenikając przezrocza, niby wyciągniętą z nieba ręką Bożą, różnobarwne wieńce składa — ona która wśród chwały kładącego się do snu słońca, takie kapiące złotem, takie strojne w po-

(1) Lettres d'un voyageur.
(2) Spiridion.

włóczyste szkarłaty, odgadywała orszaki. Tak jest— w dziedzinie fantazyi, nie było tak skrytego mitu, któryby jej tajemnicy swej nie zdradził.

Tedy ciekawość ją wzięła poznać też tego, który w najszybszym pędzie ku owym krajobrazom się pomknął, „ku owym do opisania nie podobnym, ale niewątpliwie istniejącym gdzieś na ziemi, lub chociaż na którejś planecie, jednej z tych; coto zachwycają cię swém światłem w głębi boru, w noc bezmiesięczną" (1)—i który ani myślał więcej wracać ztamtąd, na zawsze serce swoje i wyobraźnię światu temu odebrawszy , co to jak słynne owe puszcze Finlandzkie, bagniste tylko przedstawiają topiele, a tych jeśli uniknąć sobie życzysz, nie pozostaje ci, jak tylko piąć się na nagie granitowe piszczele. Utrudzona tym snem dręczącym, który Lelią nazwała, zniechęcona wreszcie do marzeń o niepodobieństwie olbrzymiém, które jej z prochu tej ziemi lepić przychodziło, zapragnęła koniecznie z kunsztmistrzem owym znajomość zabrać, co to — wiedziała — kochankiem był tak obłocznej, tak bliskiej nadksiężycowych krain niemożebności. Tylko że— niestety —jeżeli do sfer tych nie zalatują więcej trujące organizm nasz wyziewy — to niemniej spotkasz tam niejednę dla duszy truciznę. Słońca tam znajdziesz, które ci się w oczach zapalą — ale też i takie, co w twej obecności zgasną. I to najszlachetniejsze jeszcze — jakie tylko w Plejadach oglądasz. Gwiazdy tam, niby rosa świetlana padają w ziejącą nicość bezdenną, a dusza wzrokiem błędnym tę Saharę błękitną zbiegając, w pośród której Oazy zatrwożone błądzą, do smutku przenikliwego nawyka, którego ani zachwyt nie ułagodzi, ni podziw nie przerwie. Światy te Eter przedwieczny w siebie chłonąc,

(1) Lettres d'un voyageur.

bynajmniej z tej czynności niepokoju nie zna, podobny do jeziora wód śpiących, w których powierzchni zwierciadlanej grają obrazy brzegów i ruchliwego ich życia—a niemniej fal odrętwienie równie trwa jak trwało. Smutne widoku podobnego wrażenie, już samém utrudzeniem, jakie sprowadza pobyt w obcej strefie, ostudza w duszy najżywotniejsze wrzenia „i po raz pierwszy uczuć daje ca„łe ubóstwo słowa tym nawet, co się go jak najpilniej „uczyli, a następnie jak najwprawniej niém władali. Ale „zarazem, unosi ono zdala od wszelkich popędów czyn„nych, że już nie powiemy bojowych... w podróż pośród „przestrzeni, kędy tak błogo zgubić się w niezmierzonym „ogromie... kędy nie widzisz już nawet jak dalece ziemia two„ja jest piękną, bowiem patrzysz tylko w niebo... kędy już „nie z żadném poetyczném uczuciem w rzeczywistość spo„glądasz, ale jeszcze poezyą nawet idealizując, Manfreda „wzorem, nieskończoność własnemi zaludniasz wytwory."

Czy pani Sand przeczuła w Szopenie to smutne nie do wyleczenia usposobienie, tę w nim wolę nie do podziału, słowem tę nakazującą wyłączność, która stanowić zwykła zasadę kontemplacyjnych nawyknień, przeto iż się chętnie owych nienasyconych wyobraźni czepia, co to wiekuiście sny uganiają, niemogące się żadną miarą tu na ziemi wcielić? Czy odnalazła wreszcie formę, w jaką dla wyobraźni podobnych przybierać się zwykły serca pociągi, wiodące do najzupełniejszego pochłonienia, które jest dla nich wymiany uczuć synonimem? Ażeby pytania podobne módz rozstrzygnąć, ażeby na uczynku módz pochwycić tych ześrodkowanych w sobie charakterów-tajemnicę, potrzebaby podobno, wzorem ich własnym, choć na chwilę chytrze a podstępnie działać—są one bo, wiem na podobieństwo tych kwiatów dziwnie wrażliwych coto na najmniejszy chłodny powiew listki swych koron

w siebie biorą, nie odmykając ich, aż chyba słońce przyjazne zabłyśnie. Z tego powodu bogatemi *z wyłączności* nazwać by się je godziło, tak jak są drugie, których bogactwo *z nadmiaru* pochodzi. „Takie dwa, jeśli bywa że się z sobą spotkają, a zbliżą—nic nie jest w stanie w jedno je spoić, koniecznie, któreś tam życie kosztem drugiego, samo pozostanie." A cóż dopiéro istnienie takie jak Szopena było, coto powolnie ginie, samo siebie trawiąc, przeto, iż tylko jedném życiem żyć może—to bowiem wymagań jego ideału zaprzedanym jest sługą.

Zrazu Szopen obawiał się tej kobiety tyle wyższej nad wszystkie drugie — tożto ona niby dawna Delf kapłanka, mówiła rzeczy, jakich nikt inny nie umiał. Pilnie jej unikał; wreszcie ile mógł opóźniał swoje z nią spotkanie. Ona zaś, w prostocie swego szlachetnego ducha, ani odgadywała tych jego tak bezsilnych wstrętów. Sama tedy ku niemu podeszła—i oto od razu pozbył się uprzedzenia, jakie dotąd tak uparcie względem kobiet piszących w przekonaniu swojém żywił.

Jedną razą, w jesieni roku 1837, Szopen po raz pierwszy doznał niepokojących napadów choroby, która go niemal połowy sił żywotnych pozbawiła. To go zmusiło na zimowe miesiące gdzieś się ku południowi koniecznie przenieść. Wtedy pani Sand, widząc jak nieustannych, jak pieczołowitych starań smutny stan jego wymagał, ani go chciała puścić w drogę samego, i wybrała się z nim razem. Na ten cel wybrano Majorkę, miejsce przedziwnie dla łagodnego swego klimatu cierpiącym piersiom zdrowe. Jakbądź tam się udając, był tyle chory, że zdawało się niepodobieństwem żeby mógł powrócić z drogi, jakbądź na miejscu jeszcze długą i bolesną odbył chorobę—niemniej z wycieczki tej, tyle zapasu zdrowia do domu sobie przywiózł, że mu to jeszcze na dość długie wystarczyło lata,

Samże to klimat owej wyspy szczęśliwej życie mu umocnił? A może poprostu życie przytrzymało w nim duszę powabów swoich czarami. Może dla tego tylko nie odszedł, że jeszcze żyć chciał; bo któż wreszcie odgadnie: do jakiego stopnia woli prawo ciałem naszém rządzi? Któż wiedzieć może: jaką sił energią wola ta w drętwiejące już członki wprowadzić jest w możności?—jaką w ich wyczerpanie tchnąć żywotność? W końcu, któż dojdzie: kędy się ogranicza duszy nad materyą władza? albo w jakim stosunku wyobraźnia zmysłom przewodzi, własności ich zdwaja, lub ich rozkład przyśpiesza, bądź to długo i uporczywie a twardo działając, bądź wytężeniem nadludzkiém siły z użycia wyszłe garnąc, aby je w jednej chwili na swą korzyść obrócić? kiedy w krysztale wszystkie słońca promienie w jedno skupisz ognisko, to ten kruchy szkła kawałek czyliż nie wyda z siebie płomienia, w którym Boski jest początek?

Otóż—powiedzieć się godzi—w czasie owym, wszystkie szczęścia promienie w duszy Szopena w jedno się zbiegły. A tak, wcale już dziwném nie będzie, że od tego nowym płomieniem rozgorzała jego dusza, a także zajaśniała, jak świetniej niepodobna. Już ta samotnia urocza, opłukiwana zewsząd błękitami Śródziemnego morza, gajami cytrynowemi cienista, ze wszech miar wybraną wydać się musiała krainą tej jego wiecznie młodzieńczej tęsknocie, w złudzeniach błogich wytrwałą pokładającej nadzieję, i wzdychającej jeszcze do szczęścia *na odludnej gdzieś wyspie.* Tam on powietrzem odetchnął, jakiego braknie piersiom tych wszystkich, co jak on, są tu nie u siebie — tém powietrzem, które tak samo wszędzie napotkasz, jak i nigdzie, bo to zależy od tych, z którymi

ci je podzielać przyjdzie—powietrzem tych okolic wymarzonych, które, na przekór rzeczywistościom wszelkim i wszelkim przeszkodom, tak bez trudu znajdujesz, jeśli ich szukasz we dwoje—powietrzem wreszcie tej ojczyzny idealnej, w którą unieść byś z sobą rad wszystko co ci drogie, powtarzając z Minioną: „*Dahin! dahin!... o! lass uns ziehn!*"

Przez cały czas trwania jego choroby, pani Sand ani na chwilę nie opuściła tego, który ją kochał aż do ostatniego tchnienia. Przywiązanie to, nawet po roskoszy stracie, nie straciło na swej sile—wierne też było nawet wtedy, kiedy się bolesném stało. „Wątła ta istność, rzec „można, we własnego uczucia ognisko wchłonięta, „w témże ognisku zwolna się wytliła... Są tacy co w od„daniu komu serca szczęścia dla siebie szukają. Wyczerpa„wszy to przywiązanie, zwolna się go sobie pozbywają, „i w tém do drugich są podobni. Ale on kochał dla kochania. „Nie było cierpień, któreby go odstręczyły. Po upoje„niach, boleść przyjąć był zdolny; ale ostygnąć nie było „w jego sile. Ostygłby chyba ze skonaniem własném; „gdyż przywiązanie jego życiem mu się stało; czy zaś „roskoszne mu było, czy goryczą zaprawne, nie od niego „zależało oswobodzić się choćby na chwilę." W istocie odtąd pani Sand aż do końca nie przestała być dla Szopena nadludzkim niemal wpływem, oddalającym od niego czyhające zewsząd śmierci cienie, a także słodką przy nim opatrznością, umiejącą cierpienia jego najdotkliwsze czułém łagodzić staraniem.

Ażeby go ocalić, ażeby życie jego przedwczesnej wydrzeć godzinie, odważnie z chorobą jego walczyć poczęła. Otoczyła go zewsząd tą, że tak powiem, wieszczą pieczołowitością, to jest całkiem przeczuciową — która drzecież nie w jednej okoliczności od nauki najgłębszej skuteczniejszą się okazała. Czuwając nad nim, ani

utrudzenia nie znała, ani zwątpienia, ani pamięci o sobie. W tym też względzie, zarówno ją siły nie zawiodły, jak i duszy pogoda; podobnie jak to bywa u tych matek jędrnego zdrowia, które w magnetyczny jakiś sposób zdają się cóś z samych siebie użyczać swej dziatwie wątłej, przeczuciowo od nich tylko pragnącej ratunku. Nareszcie tedy choroba precz pójść musiała i zwolna „to opętanie ża„łobne, które w mgłę spowijało umysł Szopena i wszelkie „jego udaremniało ukojenie, stopniowo w niwecz się ro„zeszło. Niebawem swoboda umysłu jego towarzyszki, „myśli smutne, posępne przeczucia do reszty rozproszyła, „natomiast ku działalności ożywczej umysł jego kie„rując."

Tak więc szczęście znowu wynagrodzić przyszło śmiertelne obawy, z tém samém stopniowaniem zwycięzkiém, z jakiém pogodny dzionek wschodzi po spędzeniu burzliwej, pełnej trwogi nocy. Wiszące nad głową ciemności tak się jeszcze ciężkiemi wydają, że zrazu raczej ostatniej i silniejszej nad inne wyczekujesz trzaskawicy, aliści znagła bladawe dostrzegasz światełko—niby chmury tam dla ciebie na chwilę u widnokręgu rozdarto — i oto również blada wstępuje ci w duszę nadzieja. Wolniej oddychasz, jak ci, co w czarnej zabłąkani pieczarze, w dali gdzieś jasność ujrzą—choćby nawet złudną! Ale światełko to zorzą jest—oto już i powiewy rzeźwiące, wysłanniki poranku. Wonny dreszcz przebiega powietrze, niby umacniające nadziei tchnienie. Ptak nad inne ranniejszy budzi się i pieśń dźwięczną poczyna. Tymczasem ciemności ze światłami walczą—życie ze śmiercią, ale już widzisz na pewno: że tu koniecznie noc ulegnie. Uspokojeniem pierś ci nabiera. Ku górze patrząc, ów ołowiany z chmur ciężar mniej tłoczącym ci się wydaje, i także nie tyle bezwładny, a w jedno miejsce wbity.

Zwolna przybywa coraz więcej szarawej światłości, stopniowo wszerz się ona u widnokręgu niby rozpadlina wydłuża, ażci i wzbiera na podobieństwo jeziora tamowanego w koło silnie odkreślonemi brzegi. Ale już i brzegi te snać nie dość strome były — powoli światło je wyszczerbia, przenosi sobą, i wylewa się tu i ówdzie zwycięzko, coraz szersze zagarniając przestrzenie.

Od tej chwili, przedmioty wszelkie zdają się niby z nicości wstawać. Zrazu różana mgła je w całości powleka, ale w miarę jak wzrasta światła na niebie potęga, zwróconą ku niej stronę, coraz jaśniej błyszczą, podczas gdy po za niemi cień się coraz wyraźniejszy tworzy.

Ze wschodu coraz szersze dnia zwycięstwo. Mgły się zewsząd odwijają, niby ściągane na sznurach zasłony. Wszystko na nowo żyć zaczyna, cieszyć się, czuć, odbierać wrażenia — zewsząd radości odgłosy, zewsząd dźwięki mięszają się z sobą, krzyżują, potrącają o siebie, lub zlewają w jedno. Ruch bezładność przemógłszy, wszędzie krąży, rozbiega się, wszystko sobą przenika. Fale wód wzbierać się zdają i oddychać pośpiesznie, na podobieństwo piersi przejętej miłością. Rosa wygląda jak łzy roskoszy, które niebawem słońce w dyamenty iskrzące zmieni. A tu tymczasem ów olbrzymi na wschodzie światłości wachlarz, coraz szerzej się roztwiera. Co tam za barw bogactwo, co za zbytek od złota i najdroższych kamieni! W samym środku rubin ogromny coraz żywiej płonie...

Nareszcie ztamtąd słońce się wynurza. Zwolna to czyni, ale raz już w całości zwycięzkie ukazawszy oblicze, natychmiast niebo w posiadanie bierze, ziemię coraz dalej pozostawiając za sobą...

. . . . . .

Wspomnienie dni spędzonych w Majorce utrwaliło

się w serrcu Szopena rodzajem zachwytu, jaki najhojniej nawet od losu uposażonym, raz tylko w życiu przypada w udziale. „Tam nie na ziemi już on bywał, ale „niby w powietrzokręgu, złożonym z pyłów złotawych „i woni—tam on wytworną swoję wyobraźnię niemal „w rozmowie z Bogiem samym wyczerpywał — i jeśli „kiedy na ten kryształ promienny, w który się on bez pa„mięci wpatrywał, zwyczajnych życia warunków uderzył „jaki obrazek, zupełnie tak dotkliwe sprawiało mu to cier„pienie, jakby wśród najcudowniejszego koncertu zasły„szał znagła zgrzyt instrumentu niestrojny, lub tuzin„kowy motyw muzyczny, wplątany w myśli boskie „najcelniejszych mistrzów." W następstwie, ilekroć czasy owe wspominał, czynił to zawsze z wdzięcznością wzruszeniem przejętą, jak to się zwykło mówić o dobrodziejstwie, zdolném zapewnić szczęście całego życia. W istocie bowiem, ani się on już spodziewał, ażeby kiedy znaleźć mógł podobną do tej drugą szczęśliwość, której chwile, naprzemian: słodycz tkliwych starań kobiety z błyskami jej geniuszu znaczyły, podobnie, jak to ma miejsce w owym zegarze kwiatowym, który Linneusz w Upsali urządził—tam bowiem co godzina, w miarę budzenia się coraz nowych kielichów, coraz inne opływają cię wonie, coraz to inne podziwiasz piękności.

Widoki tych krain wdzięcznych, które we dwoje zwiedzali, wyraźniej nierównie na wyobraźnię poetki działały. Piękności przyrody w ogóle odczuwał Szopen w sposób mniej określony, jakbądź nie mniej silny. W duszę mu wprost wnikały, skutkiem czego, bezpośrednio się do ich wielkości lub czarów dostrajał; ale umysł jego nie czuł najmniejszej potrzeby brać je pod rozbiór, bliżej oznaczać, stopniować, lub nazwami opatrywać. Wrażeń też podobnych nie umiał do danego odnosić wypadku, ani

dbał nawet o źródło, z którego pochodzić mogły. Jako muzyk prawdziwy, rad był: jeśli uczuciem pochwycił treść, że tak powiem, duszę obrazu—mało już przywiązując wagi do tego, co go dotykalnym czyniło, co mu niejako skorupą tylko malowniczą było; tabowiem, ani do środków sztuki jego przypadać nie mogła, ani nawet podchodzić w duchową jego działalności sferę. A przecież (jak się to najczęściej z usposobieniem podobném zdarza), im więcej czas lub miejsce oddalało go od tych wrażeń, które mu zmysły, na podobieństwo kadzielnicy, własnym omraczającej się dymem, tumanami osnuły—tém namacalniej, tém wypuklej, w umyśle jego, odpowiednie tym wrażeniom utrwalały się się obrazy. Jakoż długo—bardzo jeszcze długo potém, żywe wspomnienia ich w sercu chował. Ale za czasu kiedy się niemi całą duszą cieszył, bynajmniej nie rozumował swego szczęścia, tylko po prostu używał go tak, jak się to z każdym człowiekiem w niemowlęctwie dzieje, to jest że na razie z wpływów otaczających najmniejszego nie zdaje sobie rachunku, aniby nawet ściśle cośkolwiek z ich działania określić potrafił, aż dopiéro w znacznie późniejszej chwili, kiedy już wszystkie te rzeczy pamięcią jedynie ogląda.

A zresztą, poco mu nawet było kraj swego szczęścia we wszystkich jego szczegółach baczniejszém oglądać okiem, niż to w usposobieniu jego leżało? Czyliż go nie odnalazł stokroć piękniejszym jeszcze, kiedy go później towarzyszka jego natchnionemi opowiedziała słowy? Tam to, poprzez właściwą jej stylowi żywość barw słoneczną, tém mu się czarowniejszy wydać jeszcze musiał, podobnie jak poprzez szyby gotyckie przenikając słońce, przedmioty wszystkie gorejącą oblewa powietrznią. Bo trzeba, że ta jego tak tkliwa w cierpieniach dozorczyni, wielką też jeszcze jest artystką. Rzadkie i przedziwne zja-

wisko. Gdyby kiedy przyroda, chcąc do najwyższego stopnia uposażyć kobietę, hojnie udzieliła jej najświetniejszych darów umysłu w połączeniu ze skarbami serca, bez których pozostałaby tylko niezbadaną zagadką, to doprawdy, wiele w tém byłoby podobieństwa do tego niegdyś ognia greckiego, co to nie gasnąc, podmorskie nanawet zwiedzać mógł tonie, szkarłatem jeszcze barwiąc błękitne niebios w nich odblaski.

Ale danoż bywa geniuszowi dosięgnąć najpokorniejszych serca wielkości—i te ofiary spełnić, które się równie przeszłości wyrzekają, jak przyszłości—objaty tyleż odważne ile tajemnicze—samego siebie całopalenia—nie czasowe już i zmienne, ale stałe i trwałe—które objawom serca dają prawo poświęceniem się nazywać? Siła geniuszu czyliż nie ma wymagań swoich prawowitych—prawowita zaś kobiety siła czyliż nie polega na tém, że się ona wszelkich wymagań wyrzeka? Gdzież się wreszcie pomieści w nieskalanym błękicie przeznaczeń kobiety i krolewska purpura geniuszu i jego płomienie palące?...

* * *

Poczynając od roku 1840, zdrowie Szopena, rozmaitą koleją, coraz się pogorszało. Letnie miesiące które w Nohant spędzał, zawsze się jednak do najlepszych liczyły. Zdawało się: że tam mu żyć swobodniej i pracować nawet łatwiej; za to zima stopniowo cierpienia jego zwiększała. Ruch wszelki stał mu się najprzód trudny, następnie niemożebny. Wkrótce, przez przeciąg roku całego, prawie już chodzić nie mógł, zwłaszcza po schodach; od tej też chwili, najpilniejsze starania podtrzymywały w nim życie.

Z wiosny roku 1847, coraz się gorzej mając, przebył wreszcie chorobę, z której mniemano że się już nie dźwignie. Dźwignął się jednak, ale na to tylko aby otrzymać cios, który sam od pierwszego razu śmiertelnym nazwał—właśnie bowiem w tym czasie pani Sand z nim zerwała. Powiedziała to kiedyś autorka Korynny, w przystępie namiętnego wzruszenia, które czasami z uroczystego nastroju wyprowadzało jej umysł wyższy nad ziemskie małostki: „przywiązanie może mieć tylko początek..."—słowo gorzkie, ale zdradzające głęboką, własnym kosztem zapewne zdobytą, zmienności serca ludzkiego znajomość. Niestety! gdyby nie napotykane niekiedy i przeciwne także w tym przedmiocie przykłady, w cóżby nareszcie wierzyć przyszło? bo podobnaż przypuścić ażeby owe tysiączne dwóch serc porozumienia, ażeby uroki ich kuszące, orszakiem tylko grobowym być miały, który, jak Kanefory starożytne, na to jedynie kwiaty niesie i z samego wyboru piękności się składa, aby w tém świetniejszy sposób na ołtarzu zarznąć ofiarę!...

Mimo tego zerwania, Szopen jak najchętniej i jak najczęściej o pani Sand mówić lubił, ani goryczy w to nie wkładając, ani wyrzutów. Niewątpliwie wewnątrz ból mu to sprawiało; niemniej pozornie wyglądało: jakby się owszem odżywiać pragnął wspomnieniami tych dni promienistych, których raj ziemski bezpowrotnie już dla niego poopadał z liści. Mimo usiłowań przyjaciół, którzy wszelkiemi sposoby starali się w sprawie jego zdrowia ten przedmiot z pamięci mu usuwać, uporczywie do niego wracał, właśnie jakby mu pilno było tym samym środkiem życie dziś sobie skracać, który je niegdyś nad progiem grobu zatrzymał. Jednocześnie, z odchodzącą bezpowrotnie pewnością tego, co go do życia wiązało, czuć w sobie wyczerpujące się zwolna sił ostatki, było mu

dziwnie kuszącym urokiem. Próżno myśl jego ztamtąd odciągano—nawet jeśli jej głośno nie wyrażał, nie mniej do niej wracał. Rzekłbyś tak chciwie truciznę tę połykając śmiertelną, pragnąć się zdawał: żeby jak najśpieszniej działała.

Jakbądź i tak mu już nie wiele pozostawało do życia, to przecież sądzimy: że cierpienia które to życie zakończyły, oszczędzone mu być mogły. Duszę mając nie wiele wymagającą, rad przebywał z promienistemi widziadły, które z swej własnej głębi wywoływać umiał; niechby więc choć w tych sam na sam z sobą, nie mięszano mu spokoju. Ale tak jak było, stał się jedną więcej szlachetną ofiarą chwilowego spotkania niezgodnych z sobą dążeń dwojga, które na razie mniej słusznie do trwalszego uczucia usposobionemi się sądzą, i przeto do tej zawodnej miary nastrajają obietnice, a tych mimo najszczerszej chęci, dotrzymać nigdy nie zdołają. Przy rozejściu się takich dwóch bytów, zwykle ten który głębiej od drugiego wrażenia chwytał, który bezwzględniej się oddał, któremu przywiązanie jego niezbędną była potrzebą — ten zwykle tylko złamany bywa, lub zabity. Straszliważ to tych najpiękniejszych darów ziemskich potęga! Spustoszenie się szerzy po ich przejściu, podobnie jak niegdyś z nieopatrzności Faetona, błogie słonecznych promieni działanie, ziemi niewinnej niszczącą klęską się stało.

Czuł Szopen i powtarzał to nieraz, że ten związek przyjazny, który z nim zerwano, trzymał przy sobie wszystkie życia jego nici...

W chorobie, którą z tego powodu przebył, chwila była: że już najzupełniej o nim zwątpiono. Niejaki Gutman, jeden z najcelniejszych jego uczniów, a oraz przyjaciel, do którego wyłączne miał naonczas zaufanie,

oddał się całą duszą na jego usługi. Starania też jego a choćby tylko obecność, najprzyjemniejszemi choremu były, i ile razy go kto odwiedzał, a zdarzało się to codzień, ile że chwila każda ostatnią się już być zdawała— pytał tylko z nieśmiałą czułością: „Gutman jak się tam ma? czy nie bardzo zmęczony? czy jeszcze czuwać przy mnie może?—bo tylko jego jednego mieć przy sobie życzę." Z niemocy tej dziwnie powoli wyszedł i z wielką trudnością, tak że powiedzieć można: niemal z cieniem życia. Zmienił się też tak mocno, że był prawie nie do poznania.

Lato następne przyniosło mu ten rodzaj niby polepszenia, jakie osobom dogorywającym daje ciepła pora. Skutkiem tego nie chciał opuścić Paryża, a tak, dobrowolnie się wyrzekł świeżego wiejskiego powietrza, które dla niego zbawiennem być mogło.

Zima z roku 184$^{7}/_{8}$ była tylko nieustającą koleją, to ulg, to pogorszeń. Niemniej na wiosnę postanowił urzeczywistnić dawno już powziętą myśl udania się do Londynu. Do łoża jeszcze był przykuty, kiedy wybuchło powstanie Lutowe. Wbrew zwyczajnym swoim upodobaniom, zdawał się żywo sprawą tą zajmować—dużo nawet mówić o tém lubił. Gutman jak wprzódy, zawsze najbliższym był jego osoby. Jego też opiece aż do końca ufał najtkliwiej.

W kwietniu, znacznie już lepiej się czując, pomyślał wreszcie o udaniu się do tego kraju, do którego dążył jak wiemy za czasu jeszcze, kiedy młodość mu się uśmiechała, a z nią i zdrowie i przyszłość najświetniejsza. Zaczém, nie bawiąc, do Anglii się wybrał, kędy, jak wiedział i przyjęcie miał znaleźć uprzejme i ocenienie dzieł swych

ze wszech miar przyjazne (1). Francyą opuścił w usposobieniu umysłu, jakie Anglicy zwykli *low spirits* nazywać. Zajęcie, które w sobie chwilowo do zmian politycznych obudził, niebawem całkiem go opuściło. Stał się nawet więcej niż kiedy milczącym. W rozstargnieniu, jeśli się czasem odezwał, bywały to jedynie żalu płonnego wybuchy. Stosunek jego do szczupłego grona osób, które jeszcze widywał, przybierał coraz przykrzejszą cechę wzruszeń, poprzedzających ostatnie pożegnanie. Zobojętnienie na wszystko, zdawało się coraz silniej go ogarniać. Jedna sztuka zachowała nad nim dawną swoję bezwzględną władzę. W chwilach (co prawda, z dniem każdym krótszych), w których jej się jeszcze mógł oddawać, tak samo żywo zaprzątała go muzyka, jak to miało miejsce za dni, w których pełen był życia i nadziei. Opuszczając Paryż, dał się publicznie słyszeć w salonach Pleyela,

---

(1) Kompozycye Szopena oddawna już w Anglii rozpowszechnione były i bardzo ulubione. Najcelniejsi wykonawcy często je tam grywali publicznie. W tym przedmiocie przytoczyć nawet można broszurę, wydaną w Londynie u Wessla i Stappletona, pod tytułem: *An Essay on the Works of F. Chopin.* Znaleźć tam można wcale trafne ocenienie Szopena. Już sam epigraf tej książki, złożony z dwóch wierszy Shelleya (Peter Bell the third):

Poetą wielkim był, i był subtelnie
Myślącym psychologiem....

dosadnie streszcza charakter mistrza. W następstwie z wielkiém uniesieniem rozprawia tu autor „o samoistnym do najwyższego stopnia geniuszu Szopena, dziwnie swobodnym, kunsztownie targającym więzy wszelkie..." dalej „o tych jego niewysłowionej tęsknoty spowiedziach - o harmonii falach łzami nabranych, lub znowu wesołości serdecznej wybuchach—o jego wytwornej umiejętności wypowiadania kunsztownie najulotniejszych myśli— o tych tysiącznych odcieniach wdzięku, które najdrobniejszym nawet utworom Szopena tak żywotną wartość nadają."—Dalej jeszcze, oto co powiada autor angielski: „Rzeczą jest ani na chwilę niewątpliwą, że na to, aby z odpowiednią poprawnością i uczuciem prawdziwém módz grać Preludia i Etiudy Szopena, potrzeba być ni mniej ni więcej jak skończonym pianistą - pierwiej zaś, aby je zrozumieć jak należy, a następnie wypowiedzieć jasno, co się w tysiącznych ich szczegółach zrozumiało—w niemniejszym stopniu poetą być potrzeba i głębokim myślicielem.

jednego z najzażylszych swoich przyjaciół, tego samego, który w następstwie, po jego zgonie tak gorliwie się zajął wystawieniem mu grobowego pomnika. Na tym koncercie, wybór znawców i lubowników sztuki, raz już ostatni Szopena posłyszał.

Za przybyciem swojém do Londynu, Szopen z tak przyjaznemi objawami przyjęty został, że to stanowczo na czas jakiś smutne usposobienie mu odjęło. Z tej miary pomyślał bezzasadnie: że dość mu całą przeszłość w zapomnienie puścić, a z nią bodajby nawet i na wyknienia dawne. Zaczém też i o zdrowie swoje nader lekko dbać począł. Dwa razy grał publicznie — ale częściej nierównie w prywatnych zebraniach. Rzucił się w świat, począł nocy nie dosypiać, różnemi się utrudzać sposoby—słowem radom lekarzy stanowcze wypowiadając posłuszeństwo.

U księżny Sutherland, królowej przedstawiony został —zaczém zaraz najdostojniejsze towarzystwa dobijać się o niego poczęły. Niebawem do Edymburga się wybrał, ale klimat tamtejszy mocno mu zaszkodził. Wróciwszy ze

W utworach bowiem Szopena, nic tuzinkowego nie znajdziesz, nic też takiego, co albo myśl trywialnie zniża, albo ją w sposób oklepany podnieść probuje— nic zużytego, nic powszedniego, nic nareszcie powtarzającego się po raz drugi W sposobie też tworzenia, próżnoby zamięszania szukać, niejasności, niesforności, niedokładności lub niezręczności—owszem, wielka tu umiejętność wszędzie, biegłość w użyciu środków i głęboka wiedza. Cechą przeważną utworów Szopena, jest najprzód: uczucie zarówno piękne jak niezwykłe, dalej obrobienie zarówno samodzielne jak szczęśliwe—melodya zaś i układ harmoniczny, nowe, świeże, silne i niezwykłością swoją dziwnie uderzające. Zarazem rzeczy to całkiem niespodziane i niedające się do niczego znanego przyczepić. Z każdym utworem Szopena wchodzisz niejako w kraj jakiś piękny, nietknięty jeszcze ludzką stopą—niby trafiłeś nawet na szlak, jakim dotąd nikt prócz niego nie szedł. Całą też działalności jego zasługę, jak należy chcąc ocenić, potrzeba niejako z nim się samym zjednoczyć... Szopen w polonezach swoich i mazurach uwydatnił wszystkie charakterystyczne cechy muzyki swego kraju, tak niepodobnej do niczego co się gdzieindziej spotyka—szorstkiej zarazem i tkliwej, roskosznie smętnej i rubasznie wesołej—przypominające poniekąd właściwości języka tych północnych krain, kędy w najróżnorodniejszych kombinacyach tyle napotykasz spółgłosek dźwięcznych..."

Szkocyi, bardzo się osłabionym uczuł; lekarze surowo mu zalecili Anglią opuścić—ale on niewiadomo czemu, wyjazd swój jak najdłużej zwlekał. Czy już niemylnie przeczuwał swój kres niedaleki?... Raz jeszcze dał się słyszeć publicznie na korzyść swoich rodaków. Ostatnie to było pożegnanie zdaleka, ostatnie spójrzenie, żal i westchnienie ostatnie! Sercem go podejmowano, na rękach noszono. Wszystkich pożegnał, a nikt wierzyć nie chciał: żeby go już ujrzeć nie miano. I jaka myśl gościć mogła w jego duszy w chwili, kiedy przebywał morze, znów do Paryża się udając?... do tego tak innego dzisiaj, że może lepiej było nigdy go nie zaznać.

Tą razą zaraz na wstępie przyjęło go tam niespodziane, a bardzo wielkie zmartwienie. Dogorywał właśnie doktor Molin, jedyny jego zbawca od lat tylu;—on to nawet, nie kto inny, zimy ubiegłej, z ostatecznej już, jak to wiemy, toni go wydźwignął. Ta strata śmiało rzec można—Szopena dobiła. Z jej powodu właśnie w chwili, w której stan umysłu najszkodliwiej na postępy choroby oddziaływać może, opadło go tak fatalne zwątpienie, że zdaniem jego, nikt mu już zmarłego przyjaciela zastąpić nie był w stanie, a tak przestał już nawet wierzyć w czyjąbądź naukę. Odtąd też nieustannie tylko zmieniał lekarzy, żadnemu nie ufając, nie słuchając rad żadnego. Rodzaj to był zabobonnego jakiegoś zniechęcenia, i żaden wpływ nad życie silniejszy, lub choćby tyle ile śmierć przemożny, nie zdołałby już podobno zwalczyć tej gorzkiej bierności.

Poczynając od zimy roku 1848, Szopen nie był już w możności stale pracy się oddawać. Od czasu do czasu, wykończał tylko coś zaczętego, ale i to bez wielkiej dla sztuki korzyści. Słusznie około własnej sławy skrzętny, w ostatniej chwili życzenie objawił: ażeby urywki

te, raczej tylko myśli niedopowiedzianych notatki pośpieszne, zniszczyć, nie dopuszczając: iżby z tego zrobić w przyszłości miano zbiór dzieł pośmiertnych, nie zbyt godnych mistrza

Z rzeczy zupełnie wykończonych pozostawił tylko *Nokturno* oraz *Walca*—ten ostatni tak jest krótki, że wygląda raczej na przelotne wspomnienie. Ostatecznie zaś, zamierzył był napisać szkołę na fortepian, w której obiecywał sobie zgromadzić wszystkie pojęcia swoje teoretyczne, a także wyniki długoletnich na polu praktyki badań mozolnych. Zadanie wielce chwalebne, ale wymagające więcej daleko sił do pracy, niż już na to stać było Szopena. Podejmując je pragnął zapewne w sztuce nawet wzruszeń się zaprzeć, które przy ducha pogodzie a spokoju serca niegdyś tak pożądaną były mu ucieczką.. Dziś, nie czego innego od niej wyczekiwał, jak tylko całą uwagę pochłaniającego, mechanicznego niemal już zajęcia, — jedném słowem, tego, czego Manfred niegdyś w przystępie rozpaczy od sił nadprzyrodzonych żądał:— *zapomnienia*!... Zapomnienia, którego ani rozrywki dać nie mogą, ani nawet ducha obezwładnienie bierne. W tym tedy, że tak powiemy, wyrobku dziennym, który według słów poety „nawałnice duszy zażegnywa" *der Seele Sturm beschwört*—chciał Szopen bezwątpienia swą wszystką pamięć pogrążyć—a przynajmniej zdrętwić ją, jeśli nie pozbyć zupełnie. Szyller, który jak on, w danej życia chwili, również nieuleczonego smutku stał się pastwą—ten poeta serdeczny, śmierci przedwczesnej pragnąc, uspokojenia także w pracy szukał, i do niej się też zwraca, jako ku ostatniej przeciw goryczom życia ucieczce:

Praco, ty nigdy nie utrudzasz,
Zdobywasz zwolna—nie zaś niszczysz.

Ty pod wieczności budowanie
Ziarnko za ziarnkiem piasek znosisz—
I tém, z wielkiego czasów długu,
Chwile, dnie, lata, precz odciągasz (1)

Niebawem, jak powiedzieliśmy, siły Szopena zawiodły—zajęcie które sobie obrał, nazbyt już było dla myśli jego utrudzające. Czas jakiś gorączkowo o tém wszystkiém prawił, plan już nawet dzieła swego nakreślił—ale wykonanie tego planu już mu się niepodobném stało. Nareszcie pisać zaczął—było tego kilka kartek—ale i te rzucono w ogień wraz z resztą..

Tymczasem też, choroba jego tak groźnie się wzmogła, że to już wszystkich stanowczo zaniepokoiło. Niebawem nie wstawał już z łóżka, i z ciężkością tylko mógł mówić. Na wiadomość o tém, przybyła z Warszawy siostra, i już się nikomu przy wezgłowiu jego wyręczyć nie dała. Czytał trwogę na twarzach wszystkich przyjaciół, widzieć mógł jak coraz uporczywiej smutek się w koło niego szerzył—sam jednak nie zdawał się w tym przedmiocie zbyt żywego brać udziału Mówił wprawdzie o niedalekim końcu swoim ze spokojem i czysto chrześcijańską rezygnacyą; nie mniej nieprzestawał tworzyć zamiarów na przyszłość. Upodobanie do zmiany mieszkania, jakiém się zawsze odznaczał, i tu go jeszcze dręczyło. Spełniając jego wolę wyraźną, najęto kilka nowych pokojów; wziął się do tego bardzo żywo—rozporządzał: jakie tam mają być sprzęty, gdzie i w jaki sposób co stać powinno, wydawał najbardziej drobiazgowe polecenia. Że zaś wszystkiego tego w swoim czasie nie odwołał, stało się tedy: że za nadejściem dnia zapowiedzianego, przeprowadzać go poczęto, a już nawet nie żył, kiedy resztę sprzętów

(1) Ideały.

przenoszono jeszcze do mieszkania, którego już zajmować nie miał.

Bałże się: że śmierć gotowa i tą razą jeszcze nie spełnić obietnicy, i tylko, jak i poprzednio, palcem go dotknąwszy, odejść znowu życie mu darując, które obecnie, po tylu węzłów zerwaniu o wiele cięższém stać mu się mogło. Czyliż też w przeddzień stanowczego o swoim losie rozstrzygnienia, w dwie najzupełniej przeciwne strony potargiwany był wpływami sprzecznemi—a mianowicie: poszeptem rozumu przeczuwającego istotną prawdę, i wstrętem serca, które nie rade było jej zgadywać. Podobna niezgodność dwóch współczesnych w jednym kierunku przewidzeń, najsilniejszym nieraz umysłom kładła w usta słowa, którym ich czyny zdawały się kłamstwo zadawać; a przecież, jedne i drugie, owocem były wewnętrznego przekonania.

Od tygodnia do tygodnia, wkrótce już nawet z dnia na dzień, coraz szerzej nad naszym Szopenem rozpościerały się śmierci skrzydła ciemne. Choroba widocznie kres ostateczny przyśpieszała—coraz żywszemi stawały się dolegliwości, coraz częstszym stan zrozpaczony, który też coraz mocniej konaniu stawał się podobny. Kiedy się to wstrzymywało na chwilę; cierpiący odzyskiwał całą swoję umysłu przytomność i woli żywość, i wtedy objawiał życzenia, dające swiadectwo bystrości jego na rzeczy poglądu, a także przedziwnego spokoju, z jakim niechybnej oczekiwał śmierci. Chciał być pochowanym tuż obok Belliniego, z którym się bardzo, bardzo poprzyjaźnił. Ten zaś ostatni, na cmentarzu Père Lachaise, w pobliżu Cherubiniego spoczywa. Trzeba: że właśnie, Cherubiniego kiedyś uczcić pragnąc (w poszanowaniu bowiem tego mistrza osobliwie go ćwiczono), po to jedynie Szopen w roku 1831 do Paryża się był wybrał. Dziś oto, po-

między Bellinim i Cherubinim znajduje się jego grobowiec, wpośród tych dwóch geniuszów, tak między sobą różnych, którym jednak Szopen w równym stopniu stał się pokrewny, tyleż w jednym naukę ceniąc wszechstronną, ile skłonności wrodzonej ku drugiemu mając; témże bowiem co i twórca Normy uczuciem tchnie melodyjném, tęż ma wartość i tę głębokość harmonijną co i Cherubini stary—w sobie jednym, w sposób dostojny, mgliste wzruszeń objawy, z umiejętnością wytrawnego mistrza, skojarzywszy.

Do ostatka wstrzemięźliwość w stosunkach swoich zachowując, nikogo wyraźnie do odwiedzania siebie nie zachęcał, dziwnie był jednak wdzięczny tym, co sobie o nim wspomnieli. Nareszcie, w pierwszych dniach października, kres ostateczny stanowczo zbliżać się dla niego począł. Nie było już ani nadziei, ani nawet wątpliwości najmniejszej. Nie na dnie już, ale na godziny tylko istnienie jego liczono. Siostra jego i Gutman, ani się na chwilę od niego nie oddalali. Nieobecna też naonczas w Paryżu Delfina Potocka, o tym jego zrozpaczonym dowiedziawszy się stanie, natychmiast ku niemu pośpieszyła. Ale najobojętniejsi nawet nie umieli oderwać się od widoku tego, tak wspaniałego, a tak pogodnego dogasania!...

Jakbądź bywają gwałtowne lub jakbądź płoche te namiętności, które w naszych sercach grają—czy siłę te serca, czy obojętność objawiają w obec nieprzewidzianych i nagłych wypadków, które przecież najmocniej wzruszającemi być powiny—wątpliwości nie ulega: że widowisko powolnej a pięknej śmierci, ma w sobie pewien nakazujący majestat, który wzrusza, oczarowywa, miękczy i podnosi dusze, najmniej nawet świętemu skupieniu przystępne. Powolne i stopniowe kogoś z pośród nas wybieranie się ku wybrzeżom nieznanych toni, tajemnicza po-

*

waga jego marzeń wtedy jasnowidnych, to znowu przywodzenia sobie na pamięć: bądź myśli, bądź wydarzeń zaszłych niewiadomo kiedy—u tego proga, po za którym jedynie wiedzy jest siedlisko, wzrusza nas głębiej, niż cobądź na świecie. Wstrząśnienia, roztwierające się nam pod nogami przepaści, pożercze ognia klęski, smutne koleje wątłej nawy, z której burza zrobiła sobie zabawkę strumienie krwi wśród bitwy dymów, straszliwie wyludniające zarazy przechody — nierównie mniej potężnie zniechęcają nas do tych rzeczy, które „przemijając, siły nasze zabierają z sobą," jak cierpliwe wpatrzenie się w stan duszy świadomej siebie, które jednocześnie i różnorodne czasów odmiany w milczeniu ogląda, i zarazem w nieme wieczności podwoje patrzy. Męstwo, zdanie się na losy, wiedza i razem utęsknienie tego, co nieuchronnym rozkładem swoim, zachowawczym popędom naszym tak wielką sprawia obawę—daleko głębiej na wyobraźnię działają, niźli najokropniejsze przejścia, nieprzedstawiające obrazu ani podobnej powagi, ani takiego skupienia.

W pokoju przylegającym do sypialni Szopena, znajdowało się nieustannie kilka osób, żądnych w danym razie pochwycić choćby spójrzenie umierającego; gdy już słowom jego niemal dźwięku brakło. W niedzielę—było to 15-go października—boleśniejsze jeszcze od poprzednich wybuchy cierpienia dręczyć go poczęły. Znosił je ze zwykłą sobie cierpliwością niezachwianą. Obecna temu Delfina Potocka, stała przy nim, rzewnemi płacząc łzami. Spostrzegł tę postać wysoką, wysmukłą, białą, przypominającą anioły Fra Angelico, najpobożniejszego z malarzy, i biorąc ją może za nadludzkie zjawisko, zażądał z cicha: żeby śpiewała. Z początku, sądzono: że bezprzytomnie mówi—ale on uporczywie prośbę swą ponawiał. Podobnaż mu było odmówić? Zaczém przytoczono

fortepian aż do drzwi jego pokoju, i pani Potocka, łkając śpiewać poczęła. Łzy strumieniem po jej twarzy płynęły, a ona śpiewała. I ten talent tak piękny, i ten głos taki uroczy, nigdy się już więcej zapewne do podobnej rzewności nie podniósł! Słuchając jej, Szopen zdawał się mniej nierównie cierpieć. Śpiewała ów sławny śpiew do Bogarodzicy, który, jak mówią, życie niegdyś Stradelli ocalił.—Jakie to piękne! ach! jakie piękne!—mówił umierający—gdyby jeszcze co więcej!— Jakbądź do najwyższego stopnia wyczerpana wzruszeniem, młoda kobieta nie miała jednak odwagi tej woli przyjaciela ostatniej nie spełnić. Siadła znowu, i śpiewać poczęła psalm Marcellego. Tymczasem, Szopen znacznie gorzej się mieć począł—wszystkich ogarnęło przerażenie. Jednym wspólnym popędem, na kolana się rzucono, i wpośród ciszy ogólnej, słychać tylko było westchnienia i łkania, a po nad niemi, niby melodyi niebieskiej dźwięki, drżący, nabrany łzami głos śpiewającej kobiety. Było to już pod wieczór—półcienie tajemnicze coraz posępniej zasnuwały tę smutną scenę—klęcząca przy łożu brata siostra Szopena, modliła się płacząc—ona już do ostatniej jego chwili z kolan nie wstała...

W ciągu nocy, znowu się znacznie pogorszyło—ale nad ranem, w poniedziałek, chory miał się lepiej. Wtedy to—właśnie jakby sam jeden tylko wiedział: kiedy być miała najwłaściwsza pora—zażądał niezwłocznie Ostatniego Namaszczenia. Pod nieobecność w Paryżu księdza ***, z którym od czasu wyjazdu ich obu z kraju, w największej pozostawał zażyłości, żądał zawezwać księdza Aleksandra Jełowickiego, męża niepospolitej nauki i niemałej między swymi powagi. Po dwakroć miał z nim poufną rozmowę. Kiedy mu nareszcie Wiatyk udzielano, w obec zgromadzonych przyjaciół z wielką go przyjął,

pobożnością. Wkrótce potém, każdego z nich z osobna do siebie wzywając, błogosławił i żegnał i Bogu polecał, nie było wtedy kolana któreby się nie ugięło—spokorniały wszystkie czoła, wszystkie powieki łzami się zwilżyły, wszystkie serca ból przejął.

Do końca dnia, miał się znowu coraz gorzej—w nocy, z poniedziałku na wtorek, stracił mowę i zdawał się nawet nie poznawać tych co go otaczali,—w tym stanie przebył dzień cały, i dopiéro około jedenastej w nocy miał niejakie polepszenie. Wtedy zwróciwszy się ku księdzu Jełowickiemu, ile że głos był odzyskał, zapragnął mówić z nim modlitwy i litanią, którą się zwykło odmawiać w śmierci godzinie. Co gdy spełniono, powtarzał i odpowiadał głośno i wyraźnie. Od tej chwili, bez ustanku już trzymał głowę wspartą na ramieniu Gutmana.

Niebawem zapadł w niespokojną śpiączkę—o drugiej zaś z północy rozpoczęło się konanie. Zimny pòt obficie spływał mu z czoła. W tém uspokoiwszy się na chwilę, spytał zaledwie zrozumiałym głosem: — „Kto jest przy mnie?"—Poczém, schyliwszy głowę, pocałował w rękę podtrzymującego go Gutmana, i w tym ostatnim wdzięczności objawie, ducha oddał—śmierć to była kochającego życia godna! Stało się to 17-go października 1849 r.

Kiedy wreszcie drzwi od jego pokoju na ścieżaj rozwarto, każdy chciał raz jeszcze oglądać ukochane zwłoki —płacz był powszechny...

Ponieważ wiadomo było: że nadzwyczajnie kwiaty lubił, nazajutrz tedy tyle ich przyniesiono, że dosłownie, łoże na którém spoczywał, najzupełniej pod niemi ginęło. Tak, niby w ogrodzie rajskim sen swój wysypiał—twarz także jego przybrała wyraz pogody i niewysłowionego spokoju. Młodzieńcza jego piękność, która zdawała się już bezpowrotnie cierpieniami być strawioną, teraz wróciła mu znowu, z całym swym urokiem. Korzystając z tego, co prędzej Clesinger z twarzy jego zdjął odlew, z którego w następstwie wykonał marmurowe popiersie, ozdabiające jego grobowiec.

Głęboka cześć, jaką Szopen stale dla geniuszu Mozarta wyznawał, skłoniła go także zażądać w ostatniej godzinie, ażeby na nabożeństwie za jego duszę, *Requiem* tego mistrza odśpiewane być mogło—życzeniu temu pośpieszono zadość uczynić. Jakoż, odbyło się to w kościele świętej Magdaleny, nie prędzej jednak jak dopiéro 30-go października—chciano bowiem: ażeby wykonanie tego arcydzieła, równie mistrza jak ucznia ze wszechmiar godném było. Najznakomitsi artyści paryzcy ubiegali się o wzięcie w niém udziału. Więc najprzód na Introit zagrzmiał *pochód żałobny* zmarłego mistrza, instrumentowany na ten cel przez Rebera. Dalej, na Offertoryum, Lefebure-Vely grał na organach cudowne jego preludye z *H* i z *E minor*. Solowe zaś partye w utworze Mozarta, rozebrały pomiędzy siebie panie Viardot i Castellan, nareszcie Lablache przy akompaniamencie Meyerbeera, odśpiewał owo słynne *Tuba mirum*, które dwadzieścia lat temu, na pogrzebie Beethovena był wykonał. Uroczystości całej Meyerbeer przewodniczył, końce zaś całunu podtrzymywali: książe Aleksander Czartoryski, Delacroix, Franchomme i Gutman.

* * *

Wątpię mocno, czy na tych kartach zdołałem wypowiedzieć o Szopenie wszystko, co mi serce moje o tém mówi—ale mam nadzieję niepłonną: że powszechny imienia jego rozgłos po świecie, to czego tu braknąć może, dostatecznie dopełni. Gdyby jeszcze do tych słów moich

pisanych pod wrażeniem świeżém dzieł zmarłego, i tego wszystkiego co mu drogiém było, i którym oby chociaż niekłamane uczucie daru przekonania użyczyć mogło— gdyby mi jeszcze do tych słów moich, dodać się godziło kilka wyrazów zwrotu po za siebie, jak to bywa, kiedy się traci rówieników, w sposób zrywający na zawsze węzły, które się jednak niemniej silnemi jak młodość wydawały—to wyznałbym—to nawet wyznać muszę z boleścią, że nie dalej jak w ciągu jednego i tego samego roku, postradałem dwóch najmilszych sercu memu przyjaciół, jakim podobnych na drodze życia mego pewnie już nie spotkam. Jeden z nich padł na wyłomie, zabity ciosem wojny. Bohater dzielny ale i oraz bardzo nieszczęśliwy—stał się pastwą okropnej śmierci, ale której nawet męczarnie ani na chwilę odwagi jego dzielnej, nieustraszonej jego krwi zimnej a rycerskiego zuchwalstwa, osłabić nie mogły! Znakomitego rodu potomek, niepospolitym umysłem, niezmierną działalności obdarzony żądzą, w którym życie wrzeć i pryskać się zdawało—w niestrudzoną czynnność, w niezłomną wolę zbrojny, zaledwie trudności życia w około siebie pouprzątawszy, pole dopiéro sobie był wywalczył, na którém, z równém powodzeniem, w publicznych spraw obronie a wymowy popisach, jak już poprzednio w wojennych na polu bitwy zapasach mógł się był odznaczyć. Drugi zgasł, wypaliwszy się zwolna w swych płomieniach własnych. Życie jego zdala od wszelkiej szerokiego świata wrzawy, niejako czémś niewcieloném było, czego działalność, w pieśniach jego tylko przebija; dni swe na ziemi obcej zakończył, której nigdy za przybraną nawet matkę nie przyznał, wiecznie swej własnej wierny—poeta z duszą zbolałą, do milczenia włożoną, skrytej tęsknoty pełną.

Śmierć księcia Feliksa Lichnowskiego, stanowczo

osierociła mię zarazem z żywego zajęcia, z jakiém śledzić nawykłem koleje powodzeń stronnictwa, z którém istnienie jego było związane. Ale śmierć Szopena, wzięła mi pyzyjaciela, z którym dzielić chleb myśli bardzo było mi błogo. Przyjaźne uczucie, z jakiém, i upodobania moje, i pojęcia o rzeczach, i poglądy na sztukę, za swoje własne uznawał, tyleż w przyszłości silną mogło mi być otuchą, ile i dźwignią było za czasu, kiedy zachęcało i umacniało pierwsze moje na świecie próby i dążenia.

Ponieważ obecnie, przeżyć go w smutnym dziale mi przypadło, chciałbym przynajmniej módz wypowiedzieć cały mój żal z tej straty,—i oto, czemu poczułem się do obowiązku, złożyć mój skromny wawrzyn na jego mogile. Dziś, kiedy muzyka w tak szeroki i tak wspaniały zewsząd sposób naprzód kroczy, Szopen z wielu względów wydaje mi się podobny do tych mistrzów pendzla z czternastego i piętnastego stulecia, którzy się nie sromali brzegi rękopismów pomysłami swemi ozdabiać, bo też z tak przedziwną sztuką to czynili, że Perugino i Rafael, którzy przyjść dopiéro po nich mieli, śmiało, w obec świata całego, ich uczniami wyznać się mogli.

* * *

Były narody, u których, ku wiecznemu ludzi wielkich, lub wielkich wypadków upamiętnieniu, kopce wznoszono, do których przechodzień każdy po jednym dostarczał kamieniu, lub po ziemi garstce, aż dopóki nieznacznie nie wyrosła z tego niepożyta wyniosłość, będąca wszystkich razem bezimiennem dziełem. Za dni naszych, przy chęci objawach tych samych, ze zmianą bytu warunków, nie już mogiłę niemą z powodu wielkich strat wznosimy; ale raczej coś, coby nawet w obec wieków najpóźniej-

szych, z wytworną sztuki pomocą, wierném uczuć współczesnych mogło być świadectwem. Ku temu, wznoszą się dziś ze składek dobrowolnych posągi i grobowce, na na cześć takich, którzy się czasom swoim i swemu społeczeństwu dobrze zasłużyli.

Niezwłocznie po śmierci Szopena, właśnie tego rodzaju myśl podjął Kamil Pleyel, i jak się spodziewać należało, myśli tej odpowiedziało powszechne uznanie. Wprędce z zebranych na to znacznych wpływów, na cmentarzu Père-Lachaise stanął grobowy pomnik dłuta Clesingera. Co do mnie—pomyślawszy o długoletniej mojej z Szopenem przyjaźni, której zawiązku szukać należy zaraz w pierwszej chwili objawienia się tego mistrza w muzykalnym świecie—wspomniawszy sobie: jak często bywałem natchnień jego wykonawcą, i to z chlubą powiedzieć mogę, nie tylko przez niego samego powołanym ale i wybranym—jak często, w sposobie wykonywania swoich utworów, sam mię, jak nikogo wtajemniczał, i to do tego stopnia, żem niejako myśli jego za swoje przyjąć mógł i przyjął—to wszystko tedy mając na względzie, osądziłem: że w okoliczności podobnej, godziło mi się coś innego, niż głaz zimny, na jego mogile położyć. Owszem, jako przyjaciel i współtowarzysz, winienem był nawet pamięci Szopena to świadectwo niniejsze, ciepłem serca ogrzane, mocą przekonania silne. Sądzę w końcu: że samemu sobie bym ubliżył, unikając zaszczytu położenia nazwiska mego na pomniku, który mu na grobie stawiam —czyż się bowiem odmawia pociechy podobnej tym, w których sercu, wieczną próżnię pozostawiła, niczém nienagrodzona strata?!...

KONIEC.

Zbiory Stowarzyszenia

180—

2192
NARODOWY
INSTYTUT
FRYDERYKA
CHOPINA
B/1



FR. SZOPEN

PRZEZ

F. LISZTA,

PRZEKŁAD

FEL. FALEŃSKIEGO.

Z portretem Szopena.

WARS

NAKŁADEM KSIĘGARNI

przy ulicy Krakowski

18